
Nr. 1-5-I-1929
ŚWIAT

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXIV

ŚWIAT

NR. 1

WARSZAWA, DNIA 5-go STYCZNIA 1929 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

NIEMCY DZISIEJSZE WIDZIANE Z SAMOCHODU

Ukazała się nowa książka Henryka Korab-Kucharskiego: „L'Allemagne en 14/6". Są to wrażenia z podróży samochodem, odbytej tego lata po Niemczech. Na powrotnej drodze, jadąc z Prus Wschodnich, Kucharski zaczepił o Polskę. W piękny sierpniowy dzień odwiedził mię w Skolimowie. Przywózł mi swoją świetną książkę o Anglji.

Mówiliśmy o nowej ankiecie, którą podjął.

— Wziąłem na siebie trudne zadanie — zwierzał się Kucharski. Zagadnienia, nurtujące państwowość i duszę niemiecką, są niezmiernie skomplikowane. Trudności potęguje jeszcze ta okoliczność, że jestem polakiem. Redakcja „Matin'a", dla której robię ankietę, chce relacji, przedsiębranych wyłącznie z punktu widzenia interesów francuskich. Rozumie pan, jak delikatnem staje się moje położenie, gdy mam mówić o stosunkach polsko - niemieckich. A pominąć ich milczeniem niepodobna.

Talent pisarski Kucharskiego sprawia, że, wyjaśniając najzawilsze zagadnienia polityczne, socjalne, czy gospodarcze, pozostaje zawsze wybornym, dowcipnym, zajmującym *causeur*'em. Wprost przeciwnie, jak tylu naszych znakomitych literatów, zwłaszcza młodszego pokolenia, którzy swemi dziełami zdają się chcieć dowieść, że wszystkie rodzaje są złe, prócz nudnego.

Kucharski przejechał swym samochodem całe Niemcy. Zaczął od południowych, przebiegł szybko środkowe, zajrzał do Hamburga, sięgnął do Szleswiku, wybrzeżem Bałtyku dojechał do Prus Wschodnich. Wytchnął cokolwiek w Polsce, wnet wyruszył do Austrji i Bawarji, by zbadać sprawę „Anschluss'u". Nie szukał zetknięcia z mężami stanu, nie robił wywiadów: uważnie patrzył i słuchał. Stąd właśnie wrażenia jego mają powabne cechy bezpośredniości.

Z tych postrzeżeń i wniosków zanotujmy cobardziej znamienne.

— — — — — —

Wszędzie w Niemczech uderza rozmach ruchu budowlanego. Wali się stare budowle, wznosi się nowe. Ulepsza się i przerabia dawne drogi. Twórcy nowych, „zamerykanizowanych" Niemiec uważają wieś za przeżytek. Pragną, aby ich ojczyzna stała się jednem wielkiem miastem, przedzielonem parkami i ogrodami. A produkty rolne? Zastąpią je wynalazki chemiczne. Już wynaleziono sztuczną naftę. Przyjdzie kolej na sztuczną mąkę. Nowe Niemcy organizują się cokolwiek „na wyrost". W Essen agent policyjny zatrzymuje samochód Kucharskiego.

— Czy pan nie widzi sygnału?— woła surowo. Ruch w tę stronę wstrzymany.

— Przecież nikt z tamtej strony nie jedzie. Nie dostrzegam ani jednego wozu...

— Ani jednego wozu? — oburzył się pruski stróż porządku publicznego. — Wszystko jedno.

Dziś ich niema, lecz jutro będzie ich więcej, niż w Ameryce!

Ich ambicja?

Jeden z inżynierów Kruppa mówił Kucharskiemu:

— Chce pan wiedzieć, jaki jest nasz obecny, największy wysiłek? Pragniemy w jedno południe przerobić kawałek surowej rudy żelaznej w cienką, delikatną parę nożyczek do paznokci. Ruda przychodzi kanałem Renu. Wprost ze statku wrzucana jest do wielkich pieców Martinowskich i zamienia się w stal. Jeszcze gorąca, przerobiona na przedmioty użytku, jest wysłana na sprzedaż. Staramy się zaoszczędzić ciepło. Ciepło, to energja, to pieniądz, to rzecz cenniejsza, niż złoto. Oto tajemnica naszych przyszłych zwycięstw!

...Na drodze do Frankfurtu nad Menem. Głucha wieś między lasami, samotna oberża. Niepodobna jechać dalej, trzeba przenocować. Ale nocleg w tym niepozornym „Gasthausie"?

— Wskazano mi pokój. Był obszerny, czysty, dobrze wywietrzony. W umywalni woda zimna i gorąca, w kącie kaloryfery. Łóżko uzbrojone sowicie w poduszki i piernaty... Komfort.

...We Frankfurcie nad Menem, stolicy żydowskich bankierów niemieckich.

Finansiści mają dobre miny. Już wylizali się z ran, zadanych przez wojnę. Interesy „idą".

— Nie można się skarżyć, — przyznaje pan Bamberger.

Pan Blumenfeld jest ostrożniejszy.

— No tak, od kilku lat daje się odczuć pewna poprawa...

— Ach, ten Blumenfeld!—przerywa ze śmiechem pan Bamberger. — On się już boi, żeby pan od niego nie chciał pożyczyć pieniędzy. Zobacz pan, jaki sobie kupił nowy samochód! Ośm cylindrów, czterdzieści tysięcy marek. Niech wybuchnie wojna, zarekwirują ci maszynę i będziesz miał guzik.

Na to Blumenfeld.

— Ty jesteś niemądry, Bamberger. Wojny nie będzie, bo my do wojny nie dopuścimy. Gdybym lękał się wojny, czy ja kupowałbym samochód za czterdzieści tysięcy? Jabym lokował pieniądze w Ameryce albo w Australji.

...W Heidelburgu. „Inne" Niemcy... Te, które wyrastały swobodnie, które nie mają w sobie nic z parwenjuszostwa. Oto stary zamek, w którym odbywały się święta muzyki i poezji, kiedy jeszcze Ameryka nie była odkrytą. A tam, poniżej, uniwersytet, w którym wykładali najwięksi uczeni. —Stara, chlubna kultura...

W Bawarji Kucharski natyka się na niezadowoleńców. Biorą go za amerykanina (Kucharski wygląda na bogatego wujaszka z Ameryki), więc wyrzekają przed nim bez skrupułów:

— Biedne Niemcy! Rządzą w nich dzisiaj socjaliści, żydzi i sprzedawczyki! Tylko my, bawarczycy, zachowaliśmy czystość patrjotyzmu. My jedni nie zapomnieliśmy doznanych klęsk i krzywd. Czy pan widział w Norymberdze dom wydawcy Palmersa?

— Któż to był?

— To był księgarz, którego rozstrzelano za czasów Napoleona, ponieważ wydrukował pamflet wymierzony przeciw tyranowi. Niema dnia, żeby przed jego domem dziś jeszcze nie składano wieńców!...

Samochód Kucharskiego zatrzymuje się w wiosce bawarskiej.

Wnet otoczony jest przez młodych i groźnych patrjotów. Poszły szepty:

— *Französicher Wagen!*

Zrobiła się cisza. Uśmiechnięte twarze spoważniały. W milczeniu przypatrywano się, jak Kucharski odnawiał zapas benzyny. Zasiadł przy kierownicy, zatrąbił. Tłum rozstąpił się. Parę nieśmiałych głosów odezwało się, jakby z przyzwyczajenia:

— *Grüss Gott!*

Wogóle bowiem zacni bawarczycy nie są tacy straszni, jak usiłują się przedstawiać. Kucharski opowiada scenę, której był świadkiem.

Niewprawny cyklista, chcąc wyminąć samochód, wpada na *Schutzmanna*, który z wielką dostojnością strzeże ulicznego ładu. Policjant wywraca się i wpada do rynsztoka. Cyklista robi parę koziołków na bruku. Podnoszą się obaj. Kucharski z przerażeniem czeka następstw: teraz obrażony augur policyjny rzuci się na niezgrabiasza! Nic z tego. Schutzmann otarł błoto, strzepnął kurz i, odsapnąwszy, odzywa się do cyklisty z wymówką:

— Mógłbyś pan więcej uważać!..

A gdy cyklista wsiada z powrotem na swoje koła i rusza, policjant dodaje:

— *Grüss Gott!*

...W Saksonji. Leuna Werke, olbrzymie zakłady chemiczne. Zatrudniają 611 inżynierów, 1329 urzędników, 2126 majstrów, 31.674 robotników. Produkcja?

— Amoniak i nawozy sztuczne.

— Słyszałem, że panowie wyrabiają syntetyczną naftę?...

Urzędnik - informator robi minę zakłopotaną. Ta fabrykacja osłonięta jest jeszcze woalem tajemnicy. Wynalazek, który ma świat przewrócić do góry nogami! Wiecie, ile będzie kosztować litr „sztucznej" benzyny, równie dobrej jak naturalna? Szesnaście fenigów! Zamiast trzydziestu pięciu, które kosztuje benzyna, pochodząca ze źródeł amerykańskich, z Galicji, Mossulu lub Kaukazu!

Jak się to odbije na stosunkach przemysłowych świata? Jakie nowe bogactwa zapewni Niemcom,— dziś już tak bogatym? Jakie tkwi w tem niebezpieczeństwo?

Kucharski odpowiada:

— Doznaję wrażenia, że niemieckie apetyty zdobywcze na tej właśnie drodze znajdą zaspokojenie. W tym tajemniczym tryumfie, odniesionym przez *Leuna - Werke*, tkwi coś wielkiego, coś, co musi zaimponować nawet młodym wartogłowom ze *Stahlelm'u*. Muszą postrzec, że kulturalny naród może świat zadziwić, nietylko mordując ludzi i rozwalając kościoły...

— — — — — — —

Sądząc z tonu dzienników i z pobieżnych rozmów, możnaby mniemać, że wojownicze zamiary dominują w Bawarji, pokojowe — w Prusach. W istocie rzeczy, wcale tak nie jest.

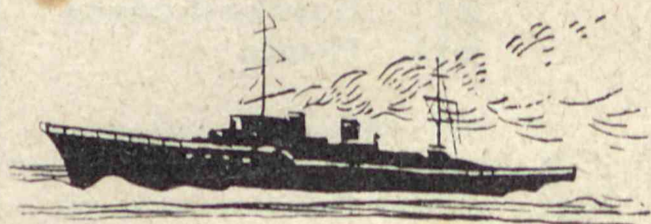
— Bawarczycy pragną wojny? Ani trochę. To są tylko słowa... Temperament południowy. W Prusach jest inaczej. Tam rządzą wprawdzie socjaliści, ale nacjonalistyczne junkierstwo zachowało swoje wpływy i znaczenie. Pragnienie odwetu najżywsze jest w Prusach, bo Prusy najbardziej ucierpiały przez wojnę. Prusy straciły Śląsk, straciły prowincje polskie, bezpośredni dostęp do Prus Wschodnich, Prusy utraciły Alzację i Lotaryngję, gdy Bawarja...

— Właściwie nic nie straciła.

— W każdym razie nie tyle. Ani Saksonja...

S. K.

(Dok. nast.)



Rozmowy z cesarzową Eugenją

Życie cesarzowej Eugenji, to szereg kontrastów, na jakie rzadko kiedy pozwala sobie literatura, rzadziej jeszcze historja, a najrzadziej rzeczywistość. Dzieje tej kobiety, która przeszła przez wszelkie etapy życia, której tak wiele było danem i nic nie oszczędzonem, są jakby dumnie rozpoczętym snem o sławie i koronie, snem ziszczonym. Lecz sen wspaniały urywa się nagle i cesarzowa Francji przeżywa przez długie lata, w bólu i upokorzeniu, minioną chwałę.

Z tych wspomnień powstała doskonała książka M. Paléologue'a „Les entretiens de l'Impératrice Eugénie", zwierzenia ostatniej cesarzowej Francji z lat 1901 — 1919.

— Tak, wiem, że uważają mnie za niewrażliwą, gdyż przyjeżdżając do Paryża, mieszkam zawsze w tym hotelu, z którego widok roztacza się na Tuilleries — mówi podczas swojej pierwszej rozmowy z ambasadorem Francji Paleologue'm w roku 1901 — lecz nic już na mnie nie robi wrażenia... Zbyt wiele przecierpiałam... Czem jest taki widok, lub inny w porównaniu z wspomnieniami, które noszę w głębi siebie! Czasem wydaje mi się, że dawno już umarłam. Ponieważ obcuję już tylko z duchami, mam wrażenie, że sama jestem cieniem... Czasem przeżywam coś, jakby nagłe przebudzenie, niezwykle mocne i intensywne. Wtedy całe sceny minionej przeszłości stają przed mojemi oczami: widzę osoby, twarze, ruchy, najdrobniejsze szczegóły; wydaje mi się, że to teraźniejszość. I to jest tragiczne...

Być może, że ją samą zdumiewały niezwykłe losy panny de Montijo. Czy była rzeczywiście córką hrabiego de Montijo i jego pięknej lekkomyślnej małżonki? Wielu historyków przyznaje jej nietylko innego ojca, lecz nawet i matkę. Neuvoy w swojej książce „Tajemnica Bonapartego" utrzymuje, że obie panny de Montijo były córkami królowej Krystyny z Bourbonów neapolitańskich, siostry przyrodniej duchesse'y Berry, a wnuczki — po kądzieli — Marji Antoniny (dla której cesarzowa Eugenja żywiła wielki kult) — córkami z jej „panieńskich" czasów, zanim poślubiła Ferdynanda III-go.

Dzieciństwo i młodość obu panien de Montijo upłynęły pośród ciągłych podróży po Europie. Ucierpiało na tem wykształcenie przyszłej cesarzowej Francji, lecz obcowanie z najrozmaitszymi ludźmi — hrabina de Montijo posiadała niezliczoną ilość znajomych i przyjaciół we wszelkich sferach towarzyskich — było dla niej najlepszą szkołą życia i uformowało bardzo wcześnie charakter ambitny i nieposkromiony.

Jak ongi Józefinie, i Eugenji cyganka przepowiedziała przyszłość:



Cesarzowa Eugenja

„...Istnieją jeszcze bajki — będziesz królową". W Paryżu urzeczywistniła się ta bajka, w Paryżu, gdzie salony otwierały się dla pięknych Hiszpanek. Paryż jest zawsze gościnny dla cudzoziemek, gdy są młode, piękne, i gdy utrzymują, że są z dobrej rodziny... Oczywiście przyszła cesarzowa nie wszędzie była przyjmowana i spotykały ją afronty, zwłaszcza od chwili, gdy zapragnęła włożyć na czoło cesarską koronę, dla której odrzuciła jedyną — podobno — miłość swojego życia. Ziszczone marzenia i ambicje zgotowały jej początkowo wiele rozczarowań i, nie zaoszczędziły dalszych afrontów ze strony innych ukoronowanych głów, a nawet — na własnym dworze. Niejedną gorzką pigułkę dała jej do przełknięcia ambasadorowa Austrji, księżna Metternich, która zresztą żywiła wielką przyjaźń dla cesarzowej i nazywała ją w swoich pamiętnikach „prawdziwą damą". Początkowo cesarzowej Eugenji ciążyła dworska etyka. Swobodnie wychowana panna de Montijo nudziła się... Krążyły najrozmaitsze anegdoty, jak w niewinny zresztą sposób urozmaicała sobie monotonję życia (wycieczki w Biarritz, spacery po Paryżu w męskiem przebraniu...). Miłostki cesarza budziły żal, zazdrość, gniew i gorzkie sceny. Ale ambicje Eugenji nie ograniczały się do noszenia korony; chciała władzy, pragnęła nietylko panować, ale i rządzić.

O zgubnym wpływie ostatniej cesarzowej Francji i jej politycznych doradców na dzieje drugiego Cesarstwa mówi historja. Książka Paleologue'a jest nietylko doskonałym komentarzem, nietylko rzuca nowe oświetlenie na szereg faktów, ale i rehabilituje główną bohaterkę dramatu historycznego. Zwierzenia cesarzowej Eugenji, w trzydzieści lat po ucieczce z Paryża, są chwilami wzruszające. Ani na moment nie przestaje zdumiewać jej niezwykła żywotność umysłu, bystra inteligencja i prawdziwe przywiązanie do Francji.

Z pomiędzy wszystkich wspomnień najsilniej wryły się w pamięć cztery obrazy najpiękniejszych i najbardziej podniosłych nastrojów. Pierwszy — chrzest syna w roku 1856.

...Podczas jazdy z katedry Notre Dame do Fuilleries, byłam sama z cesarzem w naszej wspaniałej ślubnej karocy. Serce wzbierało radością. Myślałam, że przez to dziecko, przez *mojego* syna, dynastja napoleońska umocni się ostatecznie w ziemi francuskiej, tak jak przed ośmiu wiekami dynastja Capetów. A jednak jakiś cichy głos szeptał mi, że takie same uroczystości, takie same salwy armatnie, entuzjazm tłumów i to samo bicie dzwonów towarzyszyło chrzcinom syna Ludwika XVI, króla Rzymu, księcia Bordeaux. A jaki los spotkał te biedne dzieci? więzienie, wygnanie, śmierć na obczyźnie.

Drugie słoneczne wspomnienie to nabożeństwo dziękczynne w Notre Dame po zwycięstwie pod Solferino... — Udałam się wtedy do katedry w charakterze regentki. Entuzjazm tłumów nie dał się z niczem porównać. I wtedy miałam przeświadczenie, że Bóg powierzył mojemu synowi uwieńczenie dzieła rozpoczętego przez ojca.

Po raz trzeci oczarował ją miraż przyszłości, gdy latem roku 1860, cesarz odwiedzał Sabaudję i hrabstwo Nicei, które zaanektował... Towarzyszyłam mu. To nie była podróż, lecz pochód zwycięski... Zdawało mi się, że byłam świadkiem wiecznych godów Francji z Cesarstwem.

...Mojem czwartem i ostatniem szczęśliwem wspomnieniem, to 18 listopada 1869 r. inauguracja kanału Suezkiego... Smutny to był rok dla cesarstwa. Zewnątrz: groźne Prusy, niewdzięczne Włochy i inne nieprzychylne, zawistne mocarstwa... Wewnątrz kraju: niepokój, niechęć, wroga prasa, napaści na rząd. Nadomiar cesarz chory, ponury, rozczarowany, pełen złowrogich przeczuć. Któregoś dnia podał mi rzymską gazetę, wydawaną pod cenzurą Watykanu. Była w niej wiadomość o naszym pogrzebie, mającym nastąpić w najbliższym czasie!... Uroczyste otwarcie kanału odbyło się zrana pod egipskiem niebem. Sześćdziesiąt okrętów czekało na mnie na brzegu jeziora Timsah. Mój jacht *Orzeł* zajął czołowe miejsce. Ten widok był tak piękny i tak głosił wielkość *regime'u* francuskiego, iż nie mogłam opanować radości i dumy. Okropne wrażenia, które uniosłam z Paryża, rozwiały się, jak pod wpływem laski czarodziejskiej. Wtedy po raz ostatni miałam przeświadczenie, że wielka przyszłość czeka mojego syna i prosiłam Boga, ażeby dopomógł mi w ciężkiem zadaniu, jakie spadłoby na mnie, gdyby stan zdrowia cesarza nie poprawił się... W rok potem byliśmy zdetronowani...

* * *

Z pomiędzy wielu wspomnień cesarzowej Eugenji, do najciekawszych może należą rozmowy o dworze austrjackim. W roku 1906 odwiedziła cesarza Franciszka Józefa, na jego specjalne życzenie.

...Zaproszenie to wzruszyło mnie, tembardziej że żywiłam zawsze względem cesarza Franciszka Józefa głęboki szacunek i szczerą przyjaźń. Uważałam go za najbardziej dostojnego monarchę doby współczesnej. Był on niewątpliwie ostatnim przedstawicielem starych tradycji monarchicznych. Za czasów naszego panowania byłam zawsze gorącą zwolenniczką sojuszu z Austrją... Ale i poza polityką mieliśmy wiele danych, ażeby rozumieć się i sympatyzować z sobą. On stracił żonę i syna w tragiczny sposób, ja straciłam męża i syna niemniej tragicznie. A chociaż byłam już tylko biedną zdetronizowaną władczynią, a on cesarzem, jednak i on przeżył największe upokorzenia wielkich niepowodzeń. ...Franciszek Józef jest przekonany, że jego cesarstwo nie przetrwa go, że zaraz po jego śmierci oderwą się Czechy, Węgry, Galicja i monarchja Habsburgów rozpadnie się...

...Znam dramat Mayerlingu. Mogę nawet powiedzieć, że nikt nie zna go lepiej ode mnie, gdyż zwierzyła go mi cesarzowa Elżbieta w czasie swojego ostatniego pobytu na Cap Martin... Oto fakty: 29 stycznia w roku 1889, około piątej przed wieczorem cesarz Franciszek Józef przemówił się z swoim synem na temat panny Vetsery, zagroził mu, że go wydziedziczy, o ile nie zerwie natychmiast tego skandalicznego stosunku. Cesarz był tak ostry i kategoryczny, że wystraszony następca tronu uległ i przyrzekł zerwać z kochanką. Poprosił tylko ojca, by mu pozwolił zobaczyć Vetserę po raz ostatni tego wieczoru. Miał spożyć z nią wieczerzę w Mayerlingu. Cesarz zgodził się. — „Więc dobrze! Ale więcej już nie zobaczysz się z nią. Pamiętaj, że dałeś mi słowo honoru, słowo szlachcica!" Wychodząc z Hofburgu, Rudolf wsiadł do dorożki, którą powoził Bratfisch i kazał się zawieść do Mayerlingu. Tam, w pawilonie strzeleckim oczekiwała go Marja Vetsera, książę Filip, brat Ferdynanda bułgarskiego i hrabia Hoyos, zaproszeni na wieczerzę. Wieczór minął jaknajspokojniej, żadna orgja nie miała miejsca. Jedyną rozrywką biesiadników był śpiew woźnicy Bratfischa, który był znany z pięknego głosu i znakomicie gwizdał melodje tyrolskie... Po skończonej wieczerzy wszyscy udali się na spoczynek, gdyż mieli wczesnym rankiem wyruszyć na polowanie. Rudolf i Marja Vetsera mieszkali w jednym końcu pawilonu, Filip Koburski i Hoyos w drugim. Gdy następca tronu znalazł się sam z swoją kochanką, powtórzył jej okropną sprzeczkę z ojcem i to, że pod groźbą wydziedziczenia dał słowo honoru, iż rozstanie się z nią. Odpowiedziała mu zimno: „I ja mam ci coś do zakomunikowania; zostanę matką". W paroksyzmie dzikiej rozpaczy Rudolf chwycił rewolwer i położył Marję trupem. Napisał list do matki, dzięki któremu cesarz i cesarzowa poznali wszystkie szczegóły dramatu.

Podczas jednej z ostatnich rozmów z Paleologue'm, cesarzowa mówi o Polsce, o powstaniu roku 1863, o strasznych represjach, Warszawie zbroczonej krwią.

...Nie można sobie wyobrazić, jak wspaniałym był obraz tego kraju zrywającego się nagle do obrony swojej religji i narodowości. Od czasów powstania Hiszpanji przeciwko najazdowi francuskiemu nie widziałam nic równie bohaterskiego... Wtedy dopiero zrozumiałam wielkie słowo Montalamberta: „Od czasu morderstwa Polski, cała Europa żyje w grzechu śmiertelnym..." ...Cała Francja — jestem z tego dumna — płonęła uczuciem sympatji dla bohaterskiej Polski, a ja należałam do najgorętszych entuzjastek. Po raz pierwszy w mojem życiu podzielałam zdanie mojego nieprzejednanego wroga, księcia Napoleona... Pragnęłam przywrócić Polsce dawne królestwo, a Napoleonowi III, którego *credo* polityczne opierało się na obronie uciśnionych narodów, sprawa ta leżała bardzo na sercu. Przez cały rok 1863 ciągnęły się pertraktacje pomiędzy Paryżem i Petersburgiem. Francja brała oficjalnie stronę Polski. Wreszcie przyszła kategoryczna odmowa rosyjskiego autokraty. ...Ażeby zatrzeć te przykre wrażenia, zaprosiliśmy Aleksandra II na wystawę 1867 roku. Przyjął chętnie nasze zaproszenie. Przygotowaliśmy mu wspaniałe, przepyszne przyjęcie. Mój mąż i ja staraliśmy się zaskarbić względy cara. Ale ludność Paryża odnosiła się do niego niechętnie i chłodno. Gdy przechodził przez Palais de Justice, ażeby się udać do Sainte-Chapelle, jakiś zuchwały adwokat rzucił mu w twarz „Vive la Pologne Monsieur!" ...Nazajutrz po powrocie z Long-champ, cudem tylko nie dosięgnął go strzał z rewolweru Berezowskiego, a sąd podczas rozprawy uznał jako okoliczność łagodzącą czyn Berezowskiego: okrucieństwo kata Polski. Nie mieliśmy szczęścia do Rosji.

Rozmowy z cesarzową Eugenją, spisane w imię prawdy, „dla uspokojenia jej sumienia i ulżenia jej duszy", zapoznają nas bliżej z psychiką ostatniej władczyni Francji, z kobietą, w której do ostatnich chwil życia — umarła mając dziewięćdziesiąt pięć lat, w pół wieku po detronizacji — płonęła miłość przybranej ojczyzny i niezwykła żywość umysłu.

H. Jel.

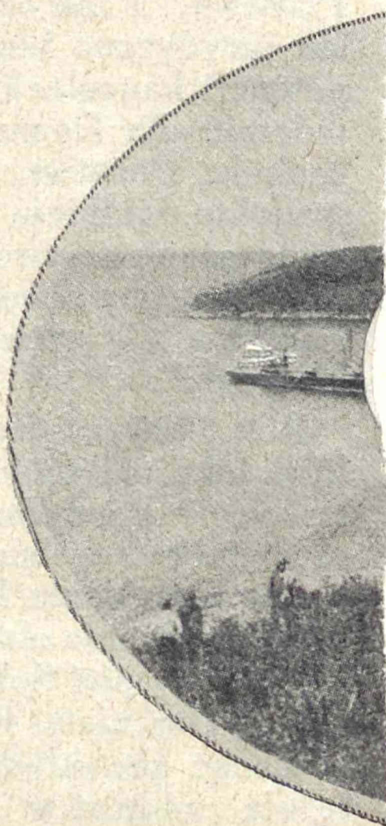
ZE ŚWIATA



Dolary! Dolary! Ślub kuzyna króla szwedzkiego z amerykanką Estellą Manville. Została ona hrobiną Folke-Bernadotte, a on miljonerem w... dolarach.



Narady polityczne w Lugano: Liga Narodów — a intymne narady kierowników polityki zogranicznej: Pp. A. Zaleski (Polska), Adatci (Japonja), Chamberlain (W. Brytanja), Stressemann (Niemcy), Briand (Francja) i Scialoi'a (Włochy).



Na terenie powaśnionych republik południowo-amerykańskich. Jezioro Titicaca.



Indjanie z Boliwji: Kapelusze, zdobiące ich głowy, są oznaką arystokratyzmu.



Typowa lokomocja w Boliwji: Lama i jej poganiacz.

Nowy Minister Sprawiedliwości

(SYLWETKA)

Z nowomianowanym Ministrem Sprawiedliwości, Stanisławem Carem, łączą mnie wspomnienia prawie 40-letnie, gdyż „nawiązaliśmy kontakt" ze sobą (powielekroć bojowy z jawną szkodą dla mundurków i stopni ze sprawowania) jeszcze we wstępnej klasie drugiego warszawskiego gimnazjum. Acz kolwiek jako uczeń należałem do kategorji urwisów („atczajannyj!"), kto wie, czy wtedy już ujawniający się żywiołowy temperament Cara nie przewyższał mnie znacznie. W dziesięć lat potem, jako słuchacze prawa, mieszkaliśmy we trójkę (trzecim był Stefan Perzyński — obecny senator) na klasycznym studenckim szóstaku na Rybakach. Ja wtedy parałem się już więcej rzemiosłem poetyckiem, niż jurisprudencją i pamiętam zawzięte godzinami dyskusje *de omnibus rebus et quibusdam aliis, w* których sprzeczne od moich liryczno - subjektywnych przekonań poglądy Cara nacechowane były już ściśle jurydycznym sposobem myślenia.

Rewolucja 1905 roku, strajk szkolny i zamknięcie uniwersytetu warszawskiego rozrzuciły nas po świecie na kilka lat. Gdym wrócił do kraju z wędrówek po wszechnicach niemieckich, Car, po przejściu aplikacji, był adwokatem. Był nim do chwili powołania go na służbę państwową polską, w której wziął gorący udział od 1915 roku w pracach nad budową polskiego sądownictwa, nad organizacją adwokatury i zbieraniem materjałów do poczynań ustawodawczych. W powstającym przy Tymczasowej Radzie Stanu Departamencie Sprawiedliwości w 1917 r. Car należy do pierwszej kadry tego Departamentu jako referent a potem radca ministerjalny, tak że obecnie ma istotnie najstarszy urzędniczy stage w Min. Sprawiedliwości. Po utworzeniu się w 1918 r. niepodległego Państwa Polskiego, Car został szefem kancelarji Naczelnika Państwa. I tak odrazu ujął w ścisłe jurydyczne kluby zakres kompetencji kancelarji, taki ułożył regulamin dla Domu Cywilnego Naczelnika Państwa, że na oryginale projektu widnieje adnotacja: „Z zastrzeżeniem swobody personalnej dla osoby obecnego Naczelnika Państwa — zatwierdzam, Józef Piłsudski".

Rok 1920 zastaje szefa kancelarji jako ochotnika w 2-im pułku strzelców konnych. Ułan Car uczestniczy w walkach pod Warszawą, w forsowaniu Bugu pod Barcicami, w obronie oblężonego Zamościa, bije się pod Sokalem, Skomorochami, Baraniemi Peretokami, a że „świecąc przykładem waleczności ratuje oddział w chwili krytycznej", — awansuje na kaprala i po kampanji z „Krzyżem walecznych" wraca do Belwederu. Pełni funkcje szefa kancelarji Prezydentów Państwa, uczestnicząc równocześnie w pracach korporacyjnych prawnictwa (Wiceprezes Sekcji Tow. Prawniczego), w organizacyjnych — Min. Sprawiedliwości (redakcja „Dziennika Urzędowego") i w urzędniczo-służbowych (członek Najwyższej Komisji Dyscyplinarnej). W 1925 r. — jest prokuratorem Sądu Najwyższego, delegowanym do prac w Dep. Ustawodawczym, do komitetu redakcyjnego „Gazety Sądowej" i do Komisji dla Kodyfikacji „Dziennika Ustaw", poczem — zostaje radcą Rady Prawniczej. W 1926 r. — podsekretarzem stanu w Min. Sprawiedliwości, ponadto w 1927 r. jest mianowany — Generalnym Komisarzem Wyborczym, — członkiem Komisji Kodyfikacyjnej i wreszcie pod koniec 1928 r. — Ministrem Sprawiedliwości.

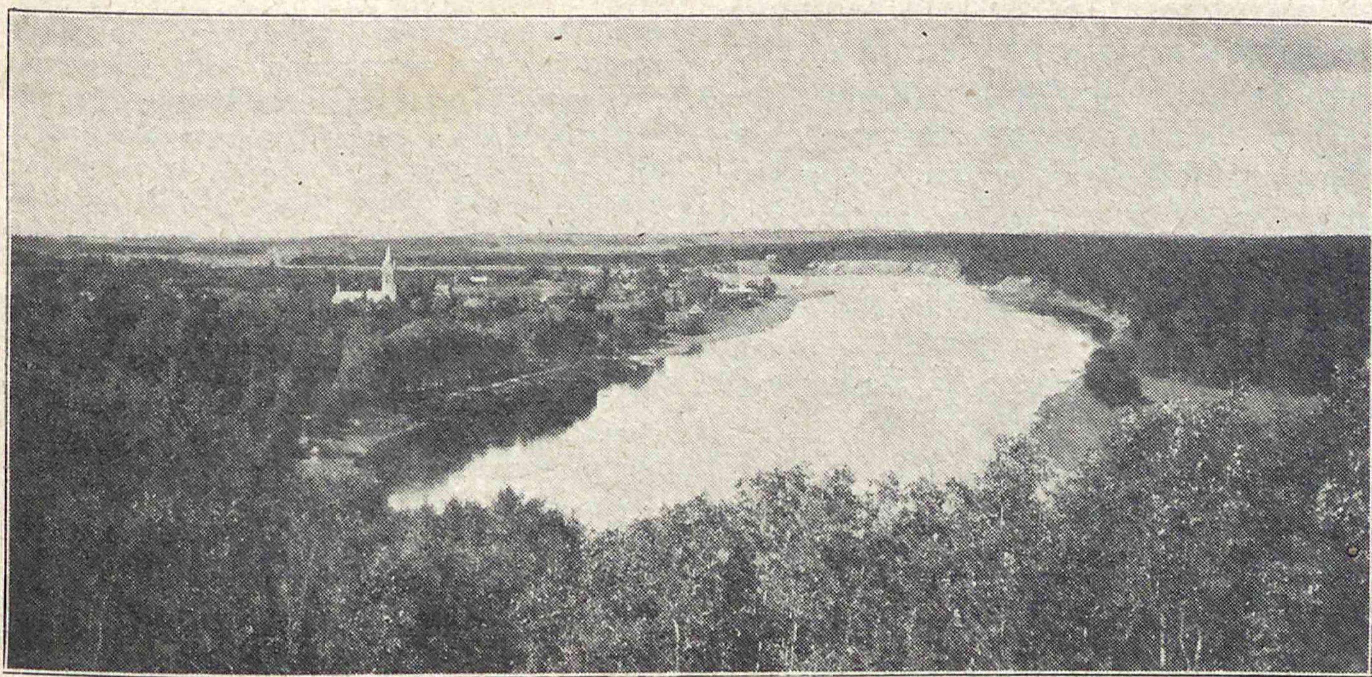
Osobną kartą, ujawniającą przy niezwykłej pracowitości pisarskie zdolności Cara, jest szereg rozpraw z zakresu prawnego oraz działalność redaktorska. „Materjały do dziejów adwokatury w Polsce", „Rys urządzeń municypalnych w Polsce", „Z zagadnień konstytucyjnych Polski", „Projekty Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej", „Zarys historji adwokatury w Polsce" (jedyna praca jaką w tym zakresie posiadamy), redagowanie czasopisma „Palestra" oraz długi szereg studjów i artykułów drukowanych m. inn. w „Gazecie Sądowej", „Palestrze", „Głosie Prawdy" i „Monitorze Polskim" składają się na tę działalność.

Człowiek bardzo szczęśliwej ręki w uskutecznianiu swych poczynań, polityk, który na ogół nie ma wrogów, posiada natomiast wrodzone zdolności pozyskiwania sobie życzliwych, świetny prawnik, obdarzony wybitnym zmysłem państwowości, wytrawny pracownik, umiejący połączyć temperament, a nawet pasję z pedantyzmem, — Stanisław Car jako Minister Sprawiedliwości wydaje się w całem tego słowa znaczeniu *right man of the right place*.

Ze szczególną jednak życzliwością i ukontentowaniem witają, o ile wiem, nominację obecnego ministra sprawiedliwości stowarzyszenia i związki literatów, autorów, kompozytorów i artystów wszelakiego autoramentu, gdyż, sam będąc człowiekiem pióra, otacza on od szeregu lat szczególną opieką ząbkujące dopiero u nas stosowanie prawa autorskiego.

Kazimierz Wroczyński





Brzegi Niemna pod Kiejdanami

NA LITWIE KOWIEŃSKIEJ

SKUTKI REFORMY ROLNEJ

Korespondencja specjalnego delegata „Świata"

Reforma rolna miała być konieczna z uwagi na grożący bolszewizm. Twierdzono również, że zmniejszy ona nędzę, a wpłynie na podniesienie kultury i dobrobytu warstw niższych.

W praktyce okazało się, że uczciwy i wykwalifikowany rolnik z trudnością tylko mógł powiększyć swój warsztat. Właściciele ziemscy nie mieli prawa sprzedawać ziemi, dopóki nie zostanie im wyznaczona norma i dopóki majątek nie zostanie rozparcelowany. Tak więc, najbardziej wartościowy element rolny, który zdał już egzamin życiowy, najmniej skorzystał z reformy.

Znany jest przykład dzierżawcy, który, dorobiwszy się, kupił przed samym wybuchem wojny 250 ha. Teraz rozparcelowano go! Nowoosiedleńcy znów, przeważnie proletarjat rolny, w ogromnej części nie umieli dać sobie rady w nowych warunkach. W pierwszych zwłaszcza latach tłumnie rzucali ziemię i emigrowali.

Dwory nie odczuły teraz tak znacznego upustu krwi.

Na Litwie jest zbyt dużo bezrobotnych. Małe dwory cierpią nawet na hipertrofję robotnika. Według urzędowej statystyki, w jednym roku (1927) wyemigrowało z Litwy zgórą 20.000 robotników.

Oto strzęp rozmowy, jaką wiodłem z pewnym sawanorem z Kowieńskiego:

— Dawniej — powiada — parówką (t. j. młocarnią parową) u nieboszczyka pana młócisz, bywało, trzy tygodnie, a i miesiąc często, a dziś u tych *naujakurów* (osiedleńców) objechać — to i na dwa dni by nie starczyło. Trzeba było komu zboża czy siana, to na obrobek ze dworu zawsze można było dostać. Zimą, kiedy ci chleba brak, dostaniesz, a latem bywało, odrobisz... A teraz wszystko za żywy grosz kupuj, a wszak wiadomo, jak o to w gospodarce ciężko... A gdzie krówkę na paszę puścić, gdzie drzewa na budowę dostać? Zwrócisz się o drzewo do urzędu, to tyle człowieka naciągają i tyle nakłopocą, — a dobrze, jeżeli wogóle dadzą. Za własne pieniądze niczego dostać nie można... Ot, niedawno poszła moja baba do nadleśniczego. Drzewa kupić chciała. Odsyłał ci ją do różnych biur. Formalności — powiadają... I tak miesiąc za miesiącem szedł, a drzewa na budulec nie sprzedawali. Więc im wkońcu baba w głos krzyknęła:

— Kraść pójdę!...

Takie są skutki reformy dla osiedleńców. A dla obywateli?

Większość polaków (ci najwięcej ucierpieli) sprzedawała ziemię i emigrowała do Polski. Wielu wpadło w nędzę. Tylko jednostki dzielniejsze umiały się dostosować do zmienionych warunków.

Mam tu na myśli te jednostki, które zdołały uratować po dwie i trzy normy i mogły utrzymać intensywniejszą gospodarkę.

Nie było to łatwem. Przez dłuższy czas całą energję pochłaniała walka z represjami i szykanami. Dopiero w ostatnich latach można było bardziej oddać się pracy na roli. Przez pewien czas nakazywano wynajmować jednego robotnika na każde 15 ha., wypłacać mu ordynarję, trzymać po dwie krowy, łożyć na rodziny zmarłych robotników, również na t. zw. *funtowników*, których nie można się było pozbyć, choć byli niepotrzebni. Mieli oni prawo mieszkać we dworze, korzystać z ogrodów, z paszy dla krów; wzamian za to odrabiać mieli trzy dni w miesiącu.

Prawo robotnicze obowiązywało te tylko majątki, które przewyższały 80 ha. Chodziło więc jasno o zniszczenie wielkiej własności.

Dotkliwie dawały się odczuć rekwizycje. Zdarzało się nieraz, że ilość żądanego do rekwizycji żyta przewyższała cały zbiór. W zasadzie za rekwizycje płacono, ale ustanowiono niesłychanie niską cenę.

Opowiadają na Litwie anegdotę, która niewiele odbiegała od istotnego stanu rzeczy: Chłop dostarczył 10 korcy żyta. Wzamian oddają mu jeden korzec, jako zapłatę. Chłop zdziwił się. Wyjaśniono mu, że dziś takie prawo: płaci się dziesiątą część. Nazajutrz kupował chłop papierosy. Wziął dziesięć sztuk, a jeden papieros zwraca, jako zapłatę, mówiąc do sklepikarza: „Teraz takie prawo. Za wszystko płaci się dziesiątą część".

W pierwszym okresie reformy rolnej rząd litewski rozdawał również budynki dworskie. W myśl prawa pozostawiano tylko budynki w stosunku do normy ziemi. W ten sposób wspaniały pałac ks. Ogińskich w Retowie sprzedano na rozbiórkę za 20.000 litów (t. j. za 4000 rs.!)...

Rozparcelowaniu uległy nawet nieliczne grunta drenowane, o wyższej kulturze. Kiedy tłumaczono Krupowiczowi, że takiego bogactwa, jak dreny, nie można niszczyć, pan „minister rolnictwa" zapytał naiwnie:

— Co to są dreny?

A gdy mu wytłumaczono, miał odpowiedzieć:

— To chłop może je wykopać!

Ziemianie, zrozpaczeni stratą, chowali plany drenów. Chłopi nie mieli pojęcia o obchodzeniu się z drenami i najbardziej urodzajne gleby zamieniały się w bagna. Jeden tylko hr. Przezdziecki z Rakiszek, znany z przed wojny działacz społeczny, zdobył się na wspaniały gest, pokazał sawanorom plany

drenów i pouczył ich, jak mają się z niemi obchodzić.

* * *

Dziś stosunki w dziedzinie rolnictwa zmieniły się na lepsze. Rząd wszelkiemi siłami popiera gospodarkę rolną, gdyż na niej opiera budżet państwowy. Udziela się rolnikom subwencyj na sprowadzanie reproduktorów, na stawianie nowych budynków, na zakładanie wzorowej chlewni i t. p. Polityka agrarna obecnego rządu przyczyniła się znacznie do uspokojenia rolników, natchnęła ich pewną otuchą i chęcią do pracy.

Ziemianie nie boją się już ciągłych niespodzianek poprzednich rządów. Zachęceni pomyślniejszemi warunkami, zakładają racjonalne gospodarstwa i sytuacja ekonomiczna kraju ulega poprawie. Jeżeli w obecnym roku nie można jeszcze mówić o lepszych zbiorach, to w znacznej mierze przyczynił się do tego fatalny nieurodzaj, jaki tego lata nawiedził całą północną Litwę.

Eugenjusz M. Schummer

Notatki literackie

O MŁODYCH PISARZACH

W „Robotniku" p. Andrzej Wolicki zamieścił artykuł o „Literaturze na froncie walki społecznej", który, aczkolwiek natchniony zdecydowanym duchem partyjnym, zasługuje na uwagę. Autor stwierdza, iż tragizmem pokolenia najmłodszego jest, że wyrzucone siłą ziszczenia poza nawias marzeń narodowo - niepodległościowych, nie umie znaleźć sobie nowych ideałów. P. Wolicki uważa walkę klas za ten właśnie ideał. „Brak programu i kierunku pokrywa się bezczelnością i tupetem. Napaściami na ludzi pracujących może inaczej, ale poważnie i uczciwie (smutna ostatnia napaść na Irzykowskiego) i pozowaniem, bez którego młodzież powojenna nie może się obejść. Zwłaszcza modne jest pozowanie na nieuznanych i zapoznanych genjuszów...".

I dalej:

— „W Polsce bezwzględnie jest za dużo ludzi, zajmujących się „twórczo" literaturą, a za mało uczciwych, rzetelnych, zdolnych pracowników literackich"...

M. PAWLIKOWSKA

NOWE POEZJE

BAJKA INDYJSKA

Sandałem wonny i bronzem ciała, w jedwabiu szat,
[ten Jedyny,
perłami w uszach dźwięczy przy tańcu i depcze kwiaty
[bez winy.
Hari na łące w rozkoszy śnie
tańcząc przetańcza noce i dnie.

Drżącą zagrodą ramion otacza kochanki pierś, krąg
[księżyca.
Oddechem słodszym niż kwiaty Tila, usta kochanki
[zaszczyca.
Tysiąc bajader przed nim się gnie,
kołysząc ciał swych palmowe pnie.

Bażanty w kratę złotą z niebieskiem słuchają brzmień
[czaroletni.
Bóg się rozpasał w kole kobiecych brzuchów, wiosennych
[i letnich.
Hari na łące w rozkoszy śnie,
tańcząc przetańcza noce i dnie.

Piersi wzburzone, białe z tęsknoty, wznoszą się wkrąg
[jedynego.
Hari, Gowinda, Madana, Kama, oto imiona są jego.
Tysiąc bajader przed nim się gnie,
kołysząc ciał swych palmowe pnie.

Słonie podchodzą, wiankiem stanęły, wśród gąszcza
[drzew Wrindawany.
Wąż objął szyję skwitłej Ketaki, kołysząc się
[zasłuchany.
Hari na łące w rozkoszy śnie,
tańcząc przetańcza noce i dnie.

Mnie jak malajską stokrotkę, tańcem wdeptali w grunt
[i w murawę.
Mnie jak gazelę młodą spłoszyli, wpatrzoną w Boga
[Madhawę.
Tysiąc bajader przed nim się gnie,
kołysząc ciał swych palmowe pnie.

Na sercu Bóstwa, w rękach miłości, innych się krew
[rozsłodycza.
Śnieżno-zębaty nie raczył ku mnie zwrócić lotosu —
[oblicza.
Hari na łące w rozkoszy śnie,
tańcząc przetańcza noce i dnie.

Zadeptał nogą w górę wzniesioną, sklepioną w łuk na
[podbiciu,
ramion fontanny, oczu lotosy i usta słodkie w użyciu.
Tysiąc bajader przed nim się gnie,
kołysząc ciał swych palmowe pnie.

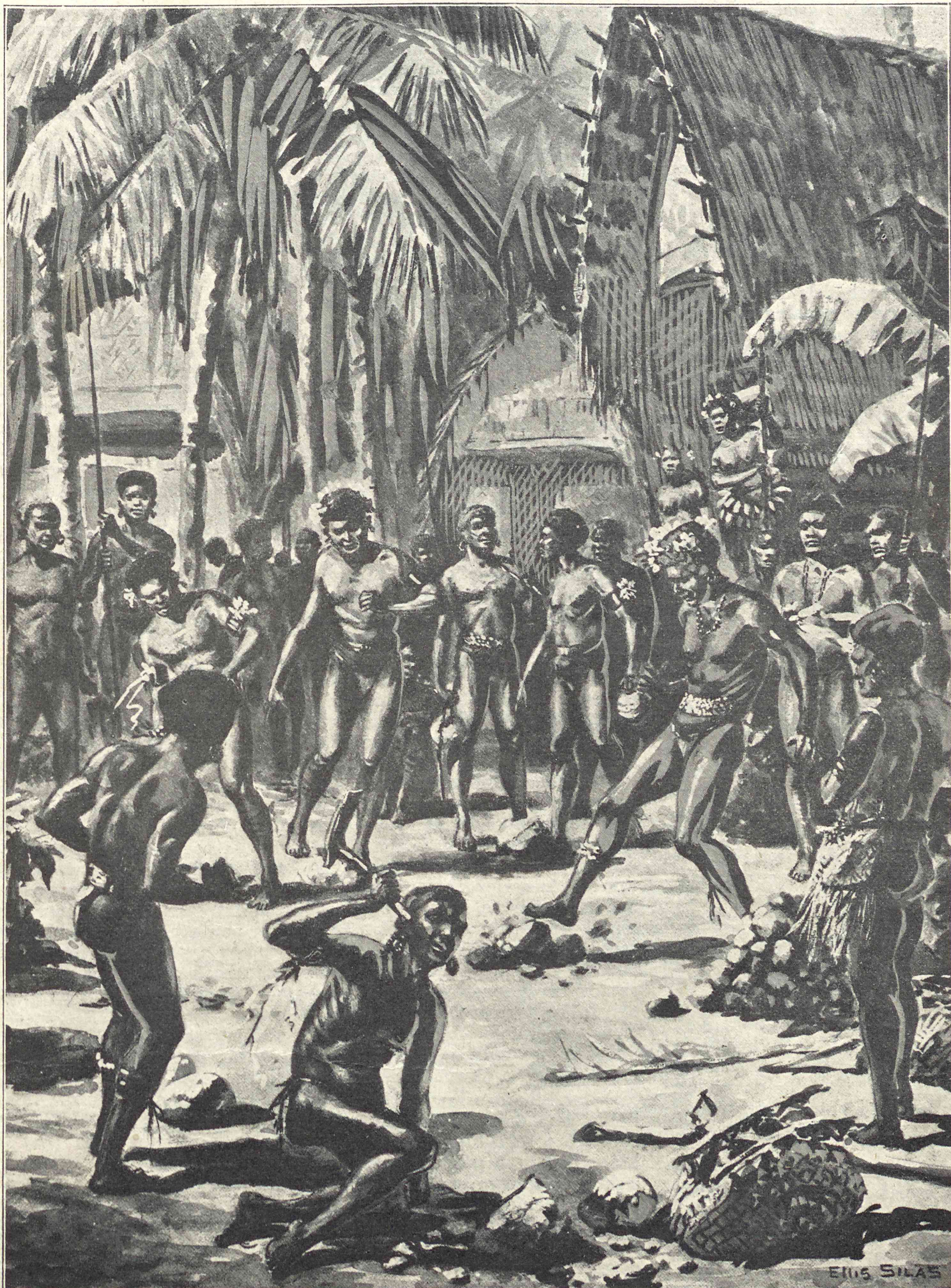
Wdeptał w proch ręce, srebrne piersi jak śpiew
[powstrzymany
i tańczy na mnie, obce całując kolana, swój taniec Boga
[Madany,
Hari na łące w rozkoszy śnie,
tańcząc przetańcza noce i dnie.

UMARŁY

Znów widzę płynące żagle
na morzu pod tęczą krzywą...
Wiem, że umarłem. I nagle
śni mi się ludzki żywot.

Miłości, tęsknoty, listy,
krzyk serca w najsłodszym chwycie,
— oto mój sen wiekuisty,
któremu na imię: — życie.

Ten błękit znów tak gorący,
szum fal słyszany niezbicie,
To sen najpiękniejszy nas, śpiących
pod ziemią. Sen zwany życiem.



Twórcy egzotycznych dancingowych tańców poszukują wciąż pierwowzorów dla cywilizowanego świata towarzyskiego. Może i papuaska rytmika, badana obecnie przez angielskich podróżników, stanie się kiedyś jazzbandowym tematem?

„ZOLOJKA"

(Prawo szpady i krwi — Edwarda Ligockiego, Psychoanalityk w podróży — Jana Brzękowskiego).

O morzu polskiem wiemy wiele rzeczy patetycznych. Jak jednak żyją Kaszubi, jak wygląda zamknięty świat rybaka z pod Pucka, Rozewia, Wejherowa, czy Gdyni, nie mamy wcale pojęcia. W beletrystyce naszej dotychczas było głucho o codziennym wysiłku szarej doli kaszubskiej. Jest to przytem ciekawe dla nas, mieszkańców innych dzielnic Rzeczypospolitej, i z regjonalnego punktu widzenia. Pomorze nie zaznacza swojej obecności w zespole twórczych, artystycznych, literackich wydarzeń. Życie rybaka dla większości polaków, to egzotyka tem więcej podniecająca, że rodzima. Jesteśmy w psychologji swojej ludźmi lądowymi. Mamy wśród siebie wilków morskich, lecz niewiele o nich wiemy.

P. Jerzy Bandrowski, autor licznych powieści, wziął sobie za zadanie wypełnienie tej luki w naszej literaturze regjonalnej. Zajął się obserwacją życia naszych braci Kaszubów i z materjału tego wysnuł powieść „z nadmorskiej Polski" p. t. „Zolojka". Nie jest to utwór o bajczarskiej tendencji. Autorowi chodziło o pokazanie stosunków realnych. Któż zdaje sobie sprawę, czem jest wiatr dla rybaka? Kto ma pojęcie, z czego żyje Kaszub? Ubóstwo pobrzeża łagodzi teraz letniskowanie nadmorskie. Wielu polaków jeździ nad swoje morze na odpoczynek. Daje to Kaszubom poważny zarobek, ale wynaturza ich rybackie, zadawnione obyczaje.

Bałtyk przytem nie należy do mórz obfitujących w ryby. Prof. Ant. Jakubski pisze z goryczą:

„Bałtyk — to istna Sahara rybna, pustynia wodna, w której żyją tylko nieliczne formy morskie, do warunków Bałtyku dostosowane, jako też i niektóre ustroje słodkowodne, biegiem rzek tu nasiedlone".

Czyż w takich warunkach pracując, rybak nasz może żyć dostatnio? Bieda doskwiera więc mieszkańcom pobrzeża, bieda włożyła na nich specyficzne piętno. P. Jerzy Bandrowski, opisując życie tych ludzi ubogich, podkreśla ich uczciwość. Uważa ich niemal za ludzi świętych.

Bohaterką powieści jest „Zolojka", córka rybacka. Zolojka oznacza miejsce, po którem morze przebiega. Przezwisko to nadano Ett'cie córce Pawła Chudego, gdyż lubiła biegać po pobrzeżu. Nie czyniła tego naprożno. Jako córka rybacka, wypatrywała darów, przychodzących z morza. Niekiedy fala przynosiła jakąś deskę, beczkę, kamyk, przedmioty wartościowe dla rybaka.

W powieści Bandrowskiego zadzierzga się i nić prawidłowej fabuły miłosnej. Jest to jednak rzecz uboczna. Opis życia rybackiego stanowi tu główną i wartościową część utworu. Trzeba też wyeliminować drobne dygresje, czynione przez autora ad usum wydawnictwa św. Wojciecha, a służące do zbudowania czytelnika. Powieść czyta się łatwo. Przynosi nowy materjał obserwacyjny, choć niezawsze stojący na wysokim poziomie beletrystycznym, ale bezwątpienia ciekawy. Najsłabszą stroną narracji jest pomysł o skórzniach. Może nawet p. Bandrowski wziął go z życia, ale beletrystycznie wygląda ta niewinna intryga szewiecka dosyć błaho.

„Zolojka" jako lektura zasługuje na wyróżnienie. Nie można odmówić też wartości nowej książce p. Edwarda Ligockiego. Ma to być powieść, a jest ciekawym pamiętnikiem tego pisarza z Korsyki. Nosi on tytuł „Prawo szpady i krwi", bo mieszkańcy tej wyspy dotychczas posługują się obyczajem Vendetty.

Powieść p. Edwarda Ligockiego pokazuje tę starą stronę obyczajowości korsykańskiej ze strony realistycznej. By poznać Vendettę i jej bohaterów, angielscy turyści licznie zjeżdżają na tę wyspę. Rozumie się, że wytworzył się też i odpowiedni przemysł. Skoro jest popyt — zawsze zjawia się podaż. W Paryżu poszukiwacze dreszczów mają apaszów — na Korsyce istnieją przedsiębiorstwa bandyckie, specjalnie przygotowywane na przyjęcie miłych gości z funtami, dolarami a nawet frankami.

Autor, jako człowiek bywały, dotarł do gniazda prawdziwych bandytów, rekrutujących się tu z ludzi, będących poza prawem, — wskutek „prawa szpady i krwi". Po wykonaniu Vendetty musi uchodzić na odludzie taki osobnik. Prawo francuskie tylko formalnie prześladuje zwyczaj vendetty. Żandarmi dostają rozkaz aresztowania ale wykonać jest go trudno. Cała ludność przestrzega, broni, ukrywa domniemanego przestępcę.

P. Ligocki, pokazując życie na Korsyce, nie mógł się ustrzedz swego artystycznego nałogu, inscenizowania intrygi bolszewickiej. Ta część narracji jest obliczona na sensacyjność, a trąci niepotrzebnym a skisłym zapachem taniej beletrystyki. Wartość książki obniżają również refleksje o własnej ojczyźnie: są one niepotrzebne dla toku opowieści i zawsze prawie karykaturalnie przeistoczone, dostosowane do założeń partyjnych. Sztuka musi unikać takich żalów, choćby nawet miały pozory słuszności.

Niczego nie można zarzucić p. Janowi Brzękowskiemu, młodemu poecie, który wydał obecnie swoją powieść p. t. „Psychoanalityk w podróży". Jest to utwór eksperymentalny i jako taki pozwala sobie na liczne wesołe dygresje. Pisany nie bez zdolności, każe przypuszczać, iż w panu Brzękowskim narasta nowa siła na polu naszej beletrystyki. Narazie autor próbuje wszelkiego rodzaju możliwości; kryminalistyka, sielankowość, erotyzm, psychologizm tańczą jazzbandową melodję lekko -snujących się wydarzeń, ocierających się o kino. Nie jest to dowolność. P. Brzękowski twierdzi bowiem:

„Psychologiczna konsekwencja jest możliwą tylko w odniesieniu do pewnych momentów, jako całość. W stosunku do całej powieści jest absurdem".

Po takiem wyznaniu czyż należy szukać jakichkolwiek przesłanek rozwoju fabuły? P. Brzękowski pisze gładko, barwnie; umie nawet zainteresować swoją desinwolturą. Stać go na skreślenie udatnego obrazka rodzajowego, potrafi obcować z przyrodą. Nie ulega wątpliwości, iż posiada wiele ważnych a charakterystycznych przymiotów na powieściopisarza, choć teorje jego są często fantastyczne. Pisze on przecież:

„Powieść nie może być poezją dłużej, niż przez 20 stron (= pół godziny czytania); nie może być psychologiczną dłużej, niż przez 40 stron (= 3/4 godziny), ani sensacyjną przez więcej, niż 100 stronic (= 60 minut czytania). Nowym walorem artystycznym jest niejednolitość formalna".

Teorji tej nie należy stawiać pod dyskusję. Następna powieść napewno przyniesie nowe sformułowania wiary p. Brzękowskiego. „Psychoanalityk w podróży" z tego punktu widzenia jest utworem zajmującym, a może nawet dostarczyć rzetelnej rozrywki ludziom o jakiej takiej literackiej kulturze.

Eustachy Czekalski

Krakowski konkurs dramatyczny

Na konkurs ten Rada Miejska m. Krakowa wyasygnowała 10 tys. złotych. Organizację konkursu powierzono dość niebacznie dyrektorowi teatru im. Słowackiego, p. Nowakowskiemu, ten zaś postanowił wyzyskać okazję celem wzmocnienia swojej nadwątlonej pozycji. Efektowny wynik konkursu, trzy głośne nazwiska nagrodzone, trzy sztuki oryginalne, zdobyte dla teatru, który uprawia nieomal wyłącznie repertuar cudzoziemski, — będzie z czem stanąć przed miejską komisją teatralną, gdy nadejdzie pora odnawiania kontraktu! Tak rozumował p. Nowakowski, i wyreżyserował konkurs w swojem przekonaniu doskonale. Zapewnił dla siebie i swoich pomocników w jury 4 głosy. Tak pewnym był swej strategji, że wszelką dyskrecję uważał za zbyteczną. W kołach literackich i teatralnych od szeregu tygodni było wiadomem, jacy pisarze otrzymają nagrody. Rostworowski, Nowaczyński, Goetel. Wątpliwości istniały tylko na jednym punkcie: czy Goetel dostanie drugą nagrodę, a Nowaczyńs[illegible] trzecią, czy też odwrotnie. Pierwsza [illegible]groda miała być w każdym razie prz[illegible] na Rostworowskiemu. Sztuki Goetl[illegible] waczyńskiego były oddawna zło[illegible] teatrach warszawskich, urywki [illegible] rowskiego" były drukowane [illegible] mach. Nie było tedy żadn[illegible] jednak brak skrupułó[illegible] innych autorów, [illegible] wzywano do st[illegible] brak skrupu[illegible] ważnych [illegible] dali się [illegible]

St[illegible] atr[illegible]

UKSELI Fot. S. Londyński



Na stanowiska

„BUKIETY BAŻANCIE"

Ranek piękny jesienny. Cudna jesień polska w całej pełni i krasie. I słońca bezmiar, i ciszy ogrom, i liści złoto rdzawo-czerwone i srebrna przędza babiego lata.

Park, łąka — ściana bezlistnych drzew bażantarni...

Panowie myśliwi i panie; piękna asysta parkowych polowań.

Wszyscy radośni i pełni nadziei — czekają pędzenia królewskich ptaków.

— — — — — — —

Nagonka rusza...

Hałas stąpań ludzkich, dalekie nawoływania pojedyńczych głosów i trzask suchy kołatek — przerywają ciszę.

W rzadszych miejscach zagaju widać pędzone ptaki, szukające schronienia w sterczących, nagich badylach traw i suchej paproci.

Dziwi ich hałas w tem cichem ustroniu! Dziwi ten huk przeciągły, podobny do grzmotów!

— Kto śmiał zakłócić spokój w tym pięknym, tak bezpiecznym gaju?

— Kto przerwać śmiał ciszę, świętą jesiennego rana?

W głębi miotu kogut przeciągłym kokotem głosi alarm i trwogę.

Furkot skrzydeł. Bażanty poczynają się zrywać. Pierwsze strzały...

Coraz więcej ptasiej rzeszy, napieranej przez naganiaczy, szuka ocalenia w chyżości skrzydeł.

Strzały mnożą się bezustannie!

Co chwila złamany w locie kogut wali z łoskotem o ziemię.

Sądny dzień dla bażanciego rodu — śmierć i zagłada.

Nagonka już na linji.

Jakiś desperat, przyczajony do ostatniej chwili, zrywa się, by paść od kilku naraz strzałów.

Miot skończony.

— — — — — — —

Ranek ten sam, piękny, jesienny.

Cudna jesień polska w całej pełni i krasie.

I słońca bezmiar, i ciszy ogrom, i liści złoto rdzawo - czerwone i srebrna przędza babiego lata.

Starsi i młodsi panowie i panie — piękna asysta parkowych polowań. — Wszyscy radośni i wdzięczni za łowy królewskie.

Bukiety bażancie!

Na pamiątkę ślicznego polowania i wspaniałego rozkładu w dniu 8-go listopada.

Klemens Spława-Neyman

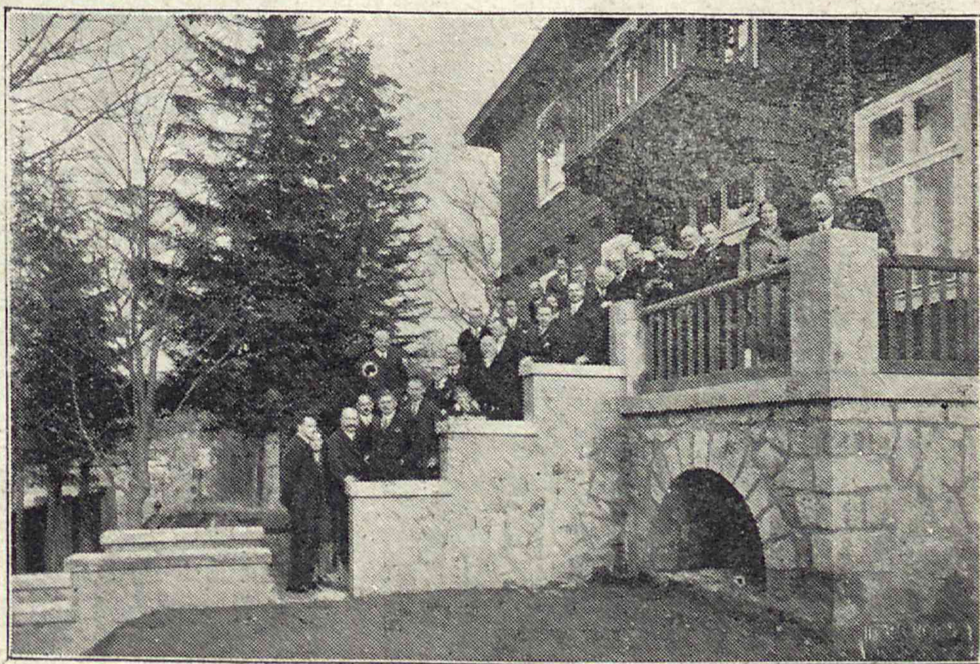
Chwałkowo

DOM ZDROWIA LWOWSKICH SZKÓŁ AKADEMICKICH W MIKULICZYNIE



Dom zdrowia od strony południowej.

Fot. Z. i R. Huberowie



Dom zdrowia od strony gościńca.

Senat akademicki Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie zorganizował w roku akad. 1924-25 „Opiekę Zdrowotną" dla młodzieży lwowskich Szkół akademickich. Do zarządu „Opieki" należą delegaci Senatów akademickich i największych Towarzystw samopomocowych Uniwersytetu, Politechniki i Akademji Medycyny weterynaryjnej.

Jednem z głównych zadań zarządu „Opieki Zdrowotnej" jest przeciwdziałanie rozszerzaniu się chorób płucnych wśród młodzieży. W tym celu stworzono Dom Zdrowia w Mikuliczynie, pięknej okolicy podgórskiej, dla młodzieży wycieńczonej, niedożywionej, niedokrwnej, zagrożonej chorobami płucnemi, względnie już cierpiącej na lekki katar szczytów lub gruźlicze zajęcie gruczołów.

Dom Zdrowia, urządzony na 24 łóżek, posiada własną studnię i wodociąg, oświetlenie elektryczne, kanalizację — główny budynek został już oddany do użytku młodzieży; leżalnia i budynek kąpielowy będą dokończone z wiosną 1929.

Uroczystego poświęcenia w obecności Delegatów Władz centralnych, Urzędu wojewódzkiego w Stanisławowie, starosty w Nadwórnej, naczelnika Gminy, Delegatów Senatów i młodzieży 3 lwowskich szkół akademickich, lwowskiego Komitetu wojewódzkiego Pomocy młodzieży, dokonał ks. kanonik Ferenz, miejscowy proboszcz.

PRZEZ KORDYLJERY

(Z wrażeń i przeżyć polskiego podróżnika).

Aby dotrzeć do Kordyljerów, musiałem przebyć przedtem niezmierzone, gorące równiny amazońskie. Groźne to dla mieszkańca krain chłodnych strony. Rosną na nich dziewicze, duszne lasy tropikalne, zalegające Amerykę Południową od Atlantyku aż do wschodnich podgórzy Andów. Ciężka to była droga! Okrętem, statkiem parowym, łodzią motorową i łodzią wiosłową, — przedzierałem się przez pół roku przez prawdziwe zielone piekło, gdzie 60 stopni gorąca na słońcu było codzienną strawą, gdzie gwałtowne deszcze równikowe moczyły do ostatniej suchej nitki, gdzie but zdjęty wieczorem pokrywał się do rana zieloną pleśnią, gdzie złowiona o wschodzie słońca ryba — w południe już cuchnęła. Gnębiony gorącem, wilgocią i złym klimatem jakoś tam jednak dotarłem do stron chłodniejszych, do górnego biegu rzeki Ucayali. Już wkrótce potem zamajaczyły mi na horyzoncie niebosiężne szczyty Kordyljerów. Ich widok nie oznaczał jednak dla mnie wypoczynku, jeno nową, trudną, najtrudniejszą bodaj do pokonania przeszkodę. Co mi tam jednak przeszkody!... Wynająłem muły, wypakowałem cieplejsze ubranie, chuchnąłem w ręce i wziąłem się za bary z przyrodą. Kto słabszy — ulegnie. Takie już prawo tu panuje.



Dolina Comas w Kordyljerach

Przez pierwsze dni, dopóki nie wspiąłem się na wysokość trzech i pół tysiąca metrów, jechałem sobie, „gwiżdżąc". Wprawdzie nędzna ścieżka, której szerokość wynosiła przeciętnie od 50 do 30 centymetrów, w żadnym wypadku na nazwę drogi nie zasługiwała i co chwilę groziła memu mułowi upadkiem w przepaść, to jednak nic sobie z tego nie robiłem, bo wciąż jeszcze było ciepło, a powietrze posiadało dostateczną gęstość. Dopiero za miejscowością Carrizal, nad jeziorem Toctuga, gdzie napadła mnie śnieżyca i przejmujący wicher, wiejący od widniejącego w



„Stacja" samochodowa w Kordyljerach

pobliżu lodowca Huntaipacche, zacząłem czuć się źle. Nadomiar złego, droga wciąż się wznosiła, a powietrze rzedło. Gdy znalazłem się na wysokości Mont Blancu, zacząłem uczuwać pierwsze objawy choroby górskiej, zwanej w Peru — „soroche". Nie czekałem długo na jej rozwój. Tego samego jeszcze dnia, wieczorem, w czasie postoju w nędznej wiosce koczuańskiej, zaczęła mi się sączyć z nosa krew i tak dalece uczuwałem brak powietrza, że położyłem się na posłaniu ze szczeciniastej trawy wysokogórskiej i leżałem na niem, jak martwy.



Obozowisko Polskiej Ekspedycji Badawczej w Kordyljerach, na wysokości 4,500 metrów

Opadły mnie złe myśli. Jak skończy się ta podróż przez podniebne szlaki? Jak zachowa się dalej serce, bijące nierówno?

Kordyljery triumfowały.

Następnego dnia rano zwlokłem się ledwie żywy i przy pomocy arrjerów (poganiaczy mułów) dosiadłem wierzchowca. Pocieszałem się myślą, że droga zaczyna schodzić w dolinę rzeki Andaramca, a więc warstwa powietrza rychło się pogrubi. Wysokości niższe od czterech tysięcy metrów były już dla mnie nieszkodliwe.

Droga, począwszy od Carrizalu, przecinała tak zwaną punę. Słowo to oznacza w języku keczua miejsca zimne, położone wysoko. Sami indjanie miejsca takie oznaczają mianem „halla". Naprożno jednak usiłowałem zbadać, dlaczego peruańscy Koczuanie i polscy górale używają identycznego słowa na określenie tego samego pojęcia. Pozostaje to dla mnie tajemnicą.

Puna, w tej części Kordyljerów, którą poznałem, rozciąga się od Santa Rosa de Ocopa, stanowiąc kraj chłodny, bezleśny i bardzo

rzadko zamieszkany. Wysokość jego waha się od 5 do 2 tysięcy metrów, a temperatura, w zależności od wysokości, dochodzi do normy wiecznych śniegów w pobliżu jezior Toctuga i Pumacocha, albo, jak naprzykład w dolinie rzeki Comas, podnosi się tak dalece, że pozwala dojrzewać pomarańczom i granatom. Na punie wysokiej nie widać innej roślinności, jak tylko trawy i nieco krzaków. Przy drodze widywałem, w wielu miejscach, krzaki jeżyn, identyczne z polskiemi. Ludzie, nawet Koczuanie, niechętnie ją zamieszkują, osiadając w głębokich dolinach, a unikając miejscowości wysokich, zimnych. Widać tam jedynie kamienne chatki, służące za schronienie pastuchom lam, alpak i bydła, koczującym po najwyższych nawet szczytach. Nietyle to kraj piękny, ile oryginalny. Pocięty jest olbrzymiemi, szerokiemi na kilometry, dolinami, na których krańcach piętrzą się ku niebu wielkie kolosy ze śnieżnemi niekiedy czapami. Gdy spojrzeć z takiego szczytu, wydaje się, jakby świat lasów, rzek i ludzkich osiedli nie istniał. Kamiennoszare, lub śnieżno-białe szczyty, ponure i tajemnicze, wyrastają jedne za drugiemi i jedne nad drugiemi. Zdają się czemś zamarłem, zaklętem. I lęk ogarnia człowieka, że może mocą jakichś potężnych zaklęć, jakiś niemniej potężny duch obrócił piękną, zieloną Ziemię w tę ponurą, milczącą i zimną bramę piekieł.

Przez szereg dni przecinałem złowrogą punę, mocując się z brakiem powietrza i górami. Tak jednak, jak poprzednio pokonałem wrażą selwę amazońską, tak teraz dałem radę i niebosiężnym Kordyljerom. Pewnego czerwcowego południa 1928 roku dotarłem do małej chatki z karbowanej blachy — pierwszej, na mojej drodze, stacji automobilowej w Peru.

Zwyciężyłem!

Przytknąłem w nos kodakiem pierwszemu pasmu Andów, które pozostało już poza mną, i, zbrojny w samochód, ruszyłem na podbój drugiego.

M. B. Lepecki



WYSTAWA ZBIOROWA W ZACHĘCIE ZNAKOMITEGO ARTYSTY



Stanisław Żukowski Fot. Józefa Bułhakówna *„Szron"*

WYSTAWA NAGOŚCI w WIEDNIU

(Korespondencja własna).

Czar, wdzięk i urok ciała kobiecego panują niepodzielnie od kilku tygodni we wszystkich siedmiu salach wiedeńskiej Secesji. Patrząc na tłumy publiczności, rozkoszującej się przepychem nagości na międzynarodowej wystawie aktu kobiecego, wypada zaakceptować w zupełności znaną „formułkę" artystyczną niemieckiego mistrza Dürera, który stwierdził, że „sztuka kryje się w naturze, a kto ją potrafi wyrwać, ten ją dzierży". W danym wypadku należałoby co prawda dodać: w naturze żywej, a nie w martwej, i to przedewszystkiem w najwyższym tej natury tworze: w człowieku. Ale oczywiście nie wolno też bynajmniej nie doceniać faktu, że większość gości zwiedzających tę wystawę nie jest obeznaną z artystycznem credo Dürera i tylko z tego powodu tak żywe dla niej zdradza zainteresowanie, bo wietrzy w niej pikanterję erotyczną lub też wręcz pornograficzną. Czyli innemi słowy: nie tyle wabi ją owa „nagość bezczelna, nie zawstydzona niczem, a nieśmiertelna", która była, jest i chyba zawsze będzie jednym z najgłówniejszych motywów sztuki plastycznej, ile chęć widoku — kobiet rozebranych.

I w tem właśnie tkwi główne nieporozumienie między prawdziwym artystą a sporą częścią publiczności. Wystawa ta liczy około dwustu eksponatów, ale dostrzec tam można najwyżej pięć czy sześć kobiet „rozebranych", wszystkie inne są nagie, szczerze nagie, olśniewające przepychem swych kształtów i świetnością karnacji, zdumiewające naturalnością czy też oryginalnością pozy i ułożenia, słowem, blaskiem bezwstydu nawskroś artystycznego. To też nie dziw, że niejeden z owych gości, którzy przyszli na tę wystawę, by szukać jakichś tajemnic czy rewelacyj erotycznych, odchodzi w końcu rozczarowany, mimo że miał sposobność napawać się widokiem tylu nagich, a wśród nich wielu wspaniałych i uroczych, ciał kobiecych. Podkreślam to z takim naciskiem, aby zwrócić uwagę na wysoki poziom wystawy nagości, którego chyba nie zdołają obniżyć ani powodzenie ani nawet popularność tego pokazu.

Począwszy od najstarszego impresjonizmu, a skończywszy na najświeższym neoklasycyzmie i najnowszej nowej rzeczowości, reprezentowane są tu wszystkie niemal szkoły i kierunki współczesnej sztuki malarskiej. Dominują pod względem zróżniczkowania kierunków Francuzi, chociaż przeważają u nich co prawda głównie prądy najnowsze, wywodzące się z kubizmu. Nie brak tu dzieł na pozór dziwacznych i śmiałych eksperymentów kinetycznych, niedostępnych i niezrozumiałych dla szerszej publiczności, wychowanej na wzorach sztuki pozytywistycznej czy też choćby impresjonistycznej. Nie brak przedewszystkiem licznych prób ujęcia plastycznego opiewanego przez Verlaine'a „ciała smutnego", melancholijnego, („la chair triste"), prób świadczących o ciężkiej, mozolnej walce młodego pokolenia artystycznego, o jego szczerej i serdecznej gonitwie za prawdą. Nie znajdują one uznania u szerokich kół, a nawet poważni krytycy niektórych wielkich pism zbywają je krótką uwagą że chyba „tych rzeczy nie należy traktować serjo; ale tak niemi, jak też nawskroś oryginalnemi rysunkami zmarłych mistrzów wiedeńskich Klimta i Schielego rozkoszują się znawcy i prawdziwi miłośnicy sztuki, których częściej spotyka się w dwóch ostatnich salach Secesji (ostatnią nazywają tutejsze koła artystyczne pokojem „Ver sacrum"), niż w wielkiej reprezentacyjnej sali, gdzie zgromadzono obrazy najefektowniejsze, których piękno musi odczuć każdy laik. Stwierdzając to, bynajmniej nie chciałbym wywołać wrażenia, że te cukierki czy rodzynki, zdobiące ściany pierwszej sali, mają coś wspólnego z owym tandetnym, zgoła nie artystycznym „kiczem", który można podziwiać w wielu pałacach nowobogackich, a który u nas w kraju za moich młodych lat określano znanym frazesem: „gołe panny w złotych ramach". Nie odważyłbym się tego powiedzieć nawet o najbardziej podziwianem „clou" wystawy, mianowicie o sławnym już obrazie węgierskiego malarza Franciszka Hatrany'ego, mimo że ta nowożytna Wenus pięknotyła, odwrócona twarzą od całego świata, istotnie w pierwszej chwili budzi wrażenie, że jest raczej rozebraną, niż nagą. Rozbraja tu widza wspaniały kunszt malarski, cechujący to dzieło jako najwyższy wykwit „pięknego" malarstwa. Jest to „bella pittura" w najdoskonalszem słowa tego pojęciu. A to samo można powiedzieć o dziele innego mistrza węgierskiego, Karola Ferenczy'ego, który rzucił na ciemne tło olśniewającą biel cudnego ciała kobiecego i jakby od niechcenia lub przez zapomnienie tuż obok umieścił sznurek jak krew czerwonych korali.

Głębsi, choć niemniej efektowni są Włosi. Wśród nich palmę pierwszeństwa dzierży Ubaldo Oppi z Medjolanu, reprezentant neoklasycyzmu, całą duszą oddany sztuce weneckich cinquecentystów a równocześnie bynajmniej nie gardzący zdobyczami nowej rzeczowości. Świadczą o tem przedewszystkiem dwa wspaniałe obrazy: „Kąpiel morska" i „Akt, 1925", oba tak pod względem rysunku, jak kompozycji wręcz doskonałe. Pierwszy niby dzieło jakiegoś mocno spóźnionego ucznia Rafaela, drugi niejako „argumentum ad oculos", przekonujący dowód naoczny, jak ściśle łączy się sztuka współczesna, która przeszła przez czyściec kubizmu i szuka pewnego oparcia w nowej rzeczowości, ze sztuką wielkich mistrzów z czasów odrodzenia. Szczególną uwagę zwraca ten drugi obraz dzięki bardzo oryginalnej — czy może tylko dziwacznej? — sytuacji: Oto na kamiennych schodach wielkiej hali jakiegoś pałacu, przykrytych czerwonym kobiercem, spoczęła śliczna kobieta w całej nagiej okazałości swych wspaniałych kształtów. Czy to może literatura?... Czy ilustracja do jakiejś starowłoskiej noweli?... Nie warto sobie łamać głowy nad tym problemem. Mniejsza o to, jakie myśli i wspomnienia snuły się po głowie mistrza, kiedy malował ten obraz — o wiele ważniejszą jest rzeczą, że stworzył dzieło, świadczące o tem wymownie, że młode pokolenie artystów włoskich umie z żywymi naprzód iść, a nie straciło ścisłej łączności z świetną tradycją swej sztuki.

Wracając na chwilę do Francuzów, chciałbym w kilku słowach zwrócić uwagę na jeden z najciekawszych obrazów wystawy: „Pani z naramiennikiem" znanego wychowanka szkoły kubistycznej, dziś zupełnie własną drogą kroczącego, malarza André Lhote. Nie olśniewa ta pani pięknością, nie czaruje widza wdziękiem swych kształtów, ale zdumiewa go ich plastycznością. To obraz — jakby wykuty z marmuru. Wypada też zaznaczyć, że reprezentowana jest na wystawie matka sławnego Utrilla, pani Suzanne Valadon, która tworząc w cieniu rozgłośnej sławy swego wielkiego syna, nie zatraciła jednak własnej indywidualności i nie najgorsze oddała przysługi impresjonizmowi.

Na wystawie nagości nie mogło oczywiście zbraknąć także rozpasanej dziewki i jej nieśmiertelnej inkarnacji Nany. Sławny obraz („Nana") zmarłego malarza niemieckiego Lovisa Corintha, raczej rzucony niż namalowany z niesłychaną brawurą i z wręcz żywiołowym temperamentem, budzi przez swój rozhuśtany naturalizm wrażenie niesmaku, posiada jednak ogromną wartość artystyczną i przejdzie do historji malarstwa także jako smutny „document humain". Żaden z malarzy niemieckich, reprezentowanych na wystawie, nie dorównywa Corinthowi pod względem temperamentu, ale nie brak wśród nich i wśród Austrjaków artystów pierwszorzędnych, którzy śmiało mogą iść w zawody z Francuzami i Włochami. Weisgerbera „Matka ziemia" i Faistauera „Rytm kobiety" — to dzieła, których nie można zapomnieć, jeśli się je raz widziało.

A Polacy? Jest ich tylko trzech: Władysław Ślewiński, Kisling i Leopold Gottlieb. Wszyscy trzej wykształceni przeważnie za granicą i na wzorach obcych. Ale przyglądając się ich dziełom (Ślewiński: „Akt kobiecy", Kisling: „Przed nocnym spoczynkiem", Gottlieb: „Naga pani") odczuwa się w całej pełni, jak ogromną krzywdę wyrządził swego czasu Juljan Klaczko artystom polskim, twierdząc, że „artyści nasi będą tylko osadnikami w szkołach francuskich i niemieckich". Wystarczy spojrzeć na pogrążone w zadumie oblicze kobiety, której akt odtworzył w mistrzowskiem ujęciu i wspaniałą wyrazistością linji niedoceniony należycie przez młodsze pokolenie Władysław Ślewiński (zmarły w roku 1918), by zrozumieć, że jest to dzieło malarza polskiego. A chyba nikt nie posądzi ani Gottlieba, ani Kislinga o zwykłe „osadnictwo" w szkole francuskiej. Kislinga obraz „Przed spoczynkiem" należy do najciekawszych i przez krytykę tutejszą najwyżej ocenionych eksponatów. Patrząc na obraz Kislinga, odnosi się wrażenie, że ta kobieta, zrzuciwszy szaty, sama jest zdumioną upojnem bogactwem swego ciała...

e. g.

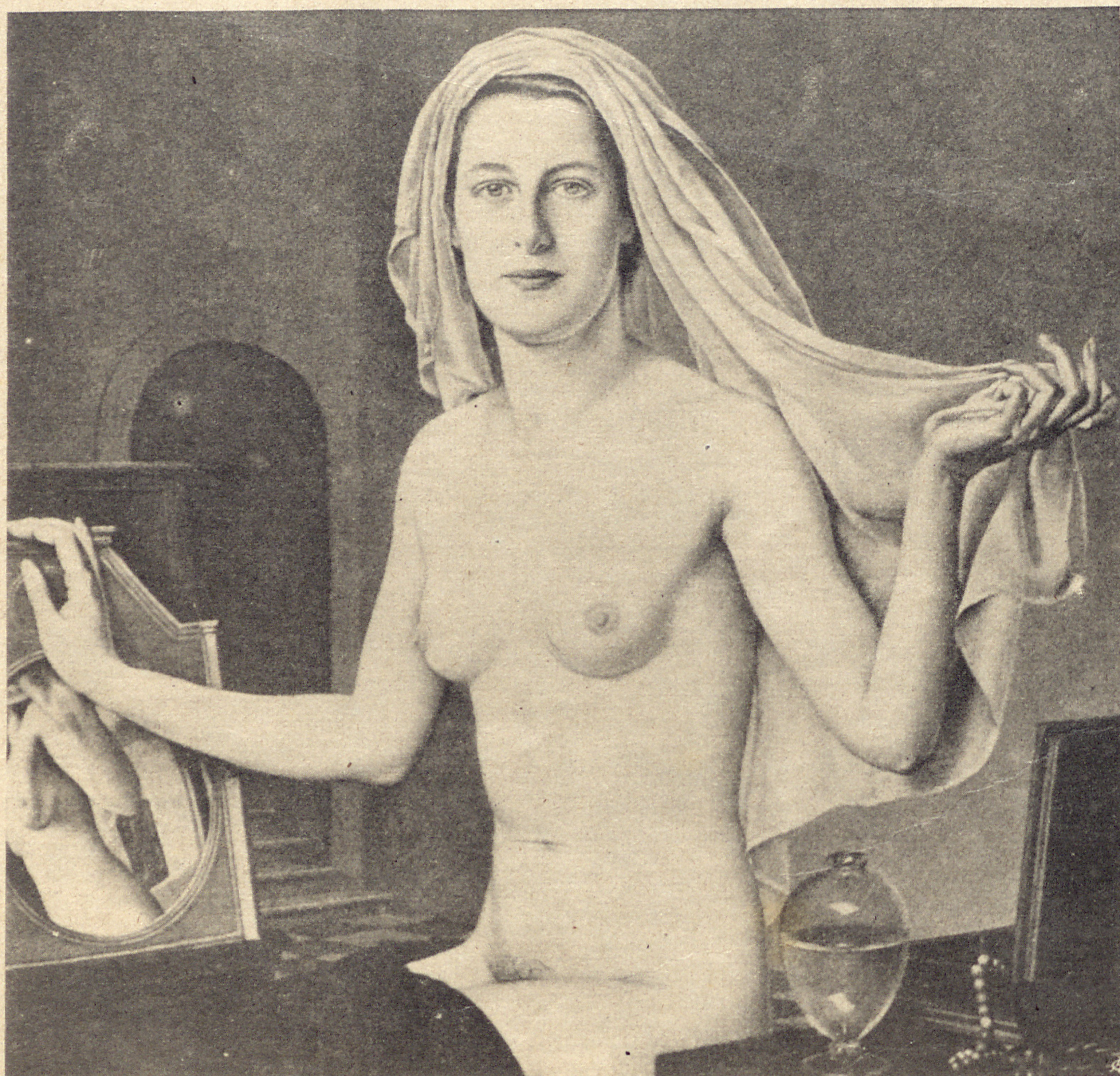
Wiedeń.



Bransoleta. André Lhote.



„Nana". Louis Corinth.



„Vanitas aut Veritas". Viktor Hammer.

WYSTAWA DOROCZNA W WARSZ. TOW. ZACHĘTY.



Dama. Michał Czepita.



Niewiasta. J. Bobińska-Paszkowska

Stare miasto. Tad. Cieślewski

ŚWIĘTA W DOMU

(dramacik gwiazdkowy).

I.

Pokój sypialny, żona, przyjaciółka żony.

PRZYJACIÓŁKA

— Radzę ci, jedź ze mną na święta do Zakopanego. Zabawisz się, poleżysz sobie na nartach w śniegu. — Zobaczysz, jak się odświeżysz...

ŻONA (znękana)

— Niestety, nie mogę... Zostawić Misia samego i dzieci, to przyjemność nad moje siły... Zresztą nie mam pieniędzy (dzwoni, wchodzi Rózia). — Róziu, jak przyjdzie jaki człowiek z rachunkiem, to powiedz, że wyjechałam, albo, że jestem ciężko chora....

RÓZIA (uprzejmie)

— Tak jest proszę jaśnie pani, powiem, że pani wyjechała i że jest ciężko chora. (wychodzi).

PRZYJACIÓŁKA

— Ja na twojem miejscu zapakowałabym Misia i dziatki na wieś do babci, a sama uciekłabym gdzieś daleko w świat, chociażby do Zakopanego.

ŻONA

— Widzisz, ja jestem inna od ciebie... szanuję tradycję... Dla Misia i dzieci byłaby to wielka krzywda, gdybym z niemi nie spędziła świąt.

PRZYJACIÓŁKA

— Czy twój mąż zawsze cię jeszcze kocha...

ŻONA

— Niestety, mam wrażenie, że coraz bardziej...

PRZYJACIÓŁKA

— Powinnaś go krócej trzymać, co to jest, żeby mąż po tylu latach małżeństwa kochał się we własnej żonie. To nudne.

ŻONA (szczerze)

— I krępujące... Gdybym wiedziała, że Miś ma jakąś przyjaciółkę, i że nie będzie sam podczas Wilji, to bym wzięła dzieci za pas i pojechałabym z tobą do Zakopanego.

PRZYJACIÓŁKA

— O, tylko bez dzieci... Nie cierpię drobnych bagaży, zawsze podróżuję z dużemi kuframi...

RÓZIA (wlatując do pokoju, uradowana)

— List! list do jaśnie pani... (podaje list na tacy)

PRZYJACIÓŁKA

— Czy to od NIEGO?

ŻONA (zarumieniona)

— Zaraz zobaczymy (otwiera list). Eh, nic ważnego, jakieś głupstwo, protestowany weksel... (do służącej). A na drugi raz nie nazywaj takich świstków listami, rozumiesz!...

PRZYJACIÓŁKA

— Muszę już uciekać. Bardzo mi cię żal, że będziesz mieć takie nudne święta. Ryby, grzyby, Misiowe chrapy, i dziecinne łapy... (całują się). Do widzenia i wesołych świąt. (znika). (Wchodzi dziecko)

DZIECKO (poważnie)

— Mamusiu, mamusiu... Modliłem się do Bozi, żeby mi Bozia zesłał na gwiazdkę dużego niedźwiedzia.

ŻONA (do siebie)

— Bezwzględny smarkaczu! Ciekawa jestem, skąd ja wydostanę pieniędzy na te wasze obstalunki niebieskie... (głośno). To bardzo ładnie, moje drogie dziecko... to ślicznie... No, i cóż Bozia na to? Pewnie ci odpowiedział, że nie zasłużyłeś na dużego niedźwiedzia?

DZIECKO

— O, przepraszam, odpowiedział mi, że da, i jeszcze dużo innych rzeczy, a (złośliwie) mamie małego nowego synka. Tak, tak powiedział...

ŻONA (przerażona, puka trzy razy w stół).

(Do siebie). — Na psa urok. (głośno). To bardzo ładnie, że dziecko myśli o mamie... ale teraz (z hamowaną pasją) proszę się iść bawić do dziecinnego pokoju.

RÓZIA (wpadając uśmiechnięta).

— Proszę jaśnie pani, jakiś pan przyszedł i chce się koniecznie z panią widzieć.

ŻONA (podejrzliwie)

— Pan powiadasz? — a jakżesz ten pan wygląda?

RÓZIA

— Chłopiec, jak ta lala, proszę jaśnie pani. Bardzo elegancki, brunet.

ŻONA

— Czy jesteś pewna, że to nie człowiek z rachunkiem?

RÓZIA

— Nie, proszę pani. Ten pan wcale na człowieka nie wygląda...

ŻONA

(do siebie). — Może to Staś... (głośno) Poproś tego pana do salonu (pudruje twarz z przejęciem).

II.

Salon, Żona i P. Goldfingermikier.

GOLDFINGERMIKIER

— Moje uszanowanie dla pani!

ŻONA (łapiąc się za serce)

— Boże!! (ochłonąwszy z wrażenia). O drogi pan Goldfingermikier. Co za miła niespodzianka. — Co słychać? Tak dawno pana nie widziałam....

GOLDFINGERMIKIER (ponuro)

— Bardzo dawno. Od czasu, jak pani dobrodziejka była u nas ostatni raz, to potem już pani ani nawet nie zaglądnęła do nas.

ŻONA (rozumnie)

— Zły rok, proszę pana, ludzie nie mają ani czasu, ani gotówki...

GOLDFINGERMIKIER (szczerze)

— Pani prezesowa!... Trzeba mi powiedzieć, że ja na kredytach zrobiłem ein falches geschäft... No, co jest? — Jak ja gościowi zakredytuję towar, to on do mnie więcej nie przyjdzie. Pani dobrodziejka to sama dobrze wie. On wszystko kupuje u konkurencji, żeby tylko stary rachunek nie zapłacić. Ja przez kredyt utraciłem najlepszą klijentelę.

ŻONA (śmiejąc się wymuszenie)

— Jest w tem trochę racji...

GOLDFINGERMIKIER

— Ja przyszedłem, żeby państwu złożyć życzenia wesołych świąt...

ŻONA (z błyskiem nadziei w oczach)

— Naprawdę? Jak to ładnie z pana strony. Ja także życzę panu jaknajweselszych świąt. A jakże zdrowie pańskiej żony?

GOLDFINGERMIKIER (ponuro)

— Dziękuję, idzie... Ja chciałem zrobić pana prezesa uważnego, że mam u pani dobrodziejki tysiąc złotych długu.

ŻONA (udając wesołą)

— Naprawdę? Tyle się zebrało? Niestety, ja nie mam ani grosza, a mój mąż wyjechał.

GOLDFINGERMIKIER (patrząc w przestrzeń)

— Ja widziałem dzisiaj na mieście pana prezesa, zdrowy, wesoły, kłaniał mi się zdaleka, jak przyjacielowi...

ŻONA (zmięszana)

— To ciekawe, w takim razie musiał nie wyjechać...

(wchodzi córeczka)

CÓRECZKA

— Mamo, napisałam list do Nieba, żeby mi aniołek przyniósł na gwiazdkę lalkę, łóżko dla lali, stołeczek dla lalki zielony, królika dla lalki...

ŻONA (do siebie)

— Ja zwarjuję... (głośno). Dobrze, dobrze aniołeczku, tylko teraz nie przeszkadzaj... (tracąc panowanie nad sobą). No, jazda...

GOLDFINGERMIKIER (nagle rozczulony).

— To pani córeczka? — Słodka dziewczyna... (do dziewczynki). Ile ty masz lat? No powiedz, ile ty sobie lat liczysz. — Ona nie powie. — Wykapana mamusia, te same oczy... Ja też mam w domu taki dzieciak, tylko trochę starszy i syn... Też ma jasne włosy, takie miedziane złoto, ondulowane od urodzenia. Ma mój wyraz, i figurę matki. — Bardzo ładne dziecko... Pani prezesowa... Ja bardzo potrzebuję pieniędzy na gwiazdkę dla rodziny.

ŻONA (nie mając już sił do walki).

— Mogę panu dać tylko to, co mam w domu, to znaczy dwadzieścia złotych...

GOLDFINGERMIKIER (polubownie).

— Niech będzie te trzydzieści złotych, z przyjaźni dla państwa...

III.

„Studio" męża, mąż i jego przyjaciółka.

PRZYJACIÓŁKA

— Jedź zemną na święta do Zakopanego. — Ja tam się zaziębię bez ciebie...

MĄŻ (złamanym głosem).

— Wiesz dobrze, co by to było dla mnie wyjechać, gdzieś z tobą razem (w duszy: jeden wydatek więcej). Ale nie mogę tego robić żonie i dzieciom. — Powieszę się chyba na drzewku w desperacji...

PRZYJACIÓŁKA (serdecznie).

— Powieś się, powieś, biedaku. (przytula jego głowę do swojego jumpera).

MĄŻ (gorzko).

— Czy myślisz, że ona się kiedy odezwie do mnie tak, jak ty teraz? — poczciwie, serdecznie, po ludzku...

PRZYJACIÓŁKA

— Zostaw babę i jedź zemną...

MĄŻ (wsiadając jedną nogą na wielkiego konia).

— Moja droga, ja jestem człowiekiem tradycji. (zsiadając z wielkiego konia). Zresztą nie chcę robić przykrości mojej żonie. — Ta kobieta mnie kocha, czy ty to rozumiesz? —

PRZYJACIÓŁKA

— Niebardzo... (próbując zębami prawdziwość perły w pierścionku) prawdziwa! Bardzo ładny pierścionek. — A co dasz żonie na gwiazdkę? —

MĄŻ (naburmuszony).

— Nic. — Czy to nie dosyć, że się poświęcam, i że zostaję z nią na święta w domu?

PRZYJACIÓŁKA (samo serce).

— To nieładnie.—Pomyśl tylko, ile ty jej zawdzięczasz! Przedewszystkiem, gdyby była inna, ładniejsza, milsza, to byś nie miał mnie, kochałbyś ją i byłbyś zazdrosny. — Musiałbyś siedzieć w domu i nudzić się...

MĄŻ (przekonany).

— To prawda, ale co by jej tu dać? —

PRZYJACIÓŁKA (bardzo kobieca).

— Najlepiej coś do ubrania. — Może parasol? —

MĄŻ (rozsądnie).

— To zaraz zgubi...

PRZYJACIÓŁKA

— No, to wiesz co, kup jej też pierścionek. Tylko oczywiście imitację, ale nie bylejaką, tylko prawdziwą. Najlepiej będzie jak pójdziemy razem, bo bezemnie mogą ci wpakować coś brzydkiego i drogiego.

MĄŻ (całuje ją, mrucząc).

— Jakie to dobre! jakie mądre! jakie kochane!...

IV.

Salon po Wilji, mąż, żona, dziatki, kolędy, drzewko, figi, świeczki, nudy.

MĄŻ (ziewa).

— Dawno nie pamiętam, żebym się czuł tak dobrze i żebym był taki śpiący... Czy nie mogłabyś puścić jakiejś wesołej płyty? —

ŻONA

— Nie można tego robić ze względu na służbę i dzieci. — Mam nadzieję, że się ucieszyłeś z kołnierzyków i z gąbki? —

MĄŻ (zasłaniając usta pełne ziewania).

— Szalenie. — Kołnierzyki trochę za duże, ale zato gąbka w sam raz. Żeś tak umiała utrafić... Dziwna rzecz, jak mi się spać chce... A ty ucieszyłaś się z pierścionka? —

ŻONA

— Niezmiernie, naprawdę zrobiłeś mi szaloną przyjemność... Gdziesz on jest? Acha, zostawiłam go w jadalnym pokoju...

MĄŻ (niespokojnie).

— Tylko musisz mi dać słowo honoru, że go nie zastawisz?

ŻONA

— Przysięgam ci, zanadto mi się podoba... Musiał być bardzo drogi...

MĄŻ (zagaduje).

— Wiesz, że Wilja była świetna... No, a ta ryba wprost kapitalna. — Nie mogę o niej zapomnieć.

ŻONA

— Naprawdę była świetna i bardzo niedroga...

RÓZIA (wpadając z histerycznym jękiem do salonu).

— Proszę jaśnie państwa — stało się nieszczęście.

MĄŻ (ożywiony).

— Cóż takiego? —

ŻONA

— Jezus Marja! pewnie się dzieciom coś stało? —

RÓZIA (zdyszanym głosem).

— Tak, proszę pani, Józio darował nowy pierścionek jaśnie pani żebrakowi, który wszedł do kuchni. — Powiedział, że przy takim uroczystym święcie musi zrobić jakiś dobry uczynek.

ŻONA

— Boże! mój cudny nowy pierścionek (zaczyna w panice gonić po pokoju). Róziu! leć, zawołaj policję, daj żebrakowi złotego, odbierz mu pierścionek.

MĄŻ

— Ale głupstwo, niema o czem mówić, Boże! jakie wy jesteście wszystkie drobiazgowe.

ŻONA (becząc).

— Buuu... Jesteś bez sumienia... Ładne święta!!

MĄŻ

— Nie rób komedji przy służbie, pójdę jutro do miasta i kupię ci podobny...

ŻONA (z suchemi oczami uśmiechnięta).

— Jeśli jesteś taki dobry, to wiesz co, daj mi lepiej pieniądze, które ten pierścionek kosztował. Ja mam tyle wydatków, tyle głodnych żydków czeka na pieniądze. — Dobrze? —

MĄŻ (przerażony).

— O nie moja droga. — Widzisz, jak tobie nie warto nic sprawić. Przedewszystkiem wychowujesz dzieci w ten sposób, że śmią rozporządzać się cudzą własnością i wyrabiasz w nich niepotrzebną czułostkowość, a po drugie — nie dbasz o własne rzeczy. Pierścionek powinien być na swoim miejscu, to znaczy na palcu, a nie na stole. — Jesteś nieporządna, niedbała i nie rozumiesz wartości przedmiotów. Zajrzyj do twojej szuflady: czego tam niema? Podwiązki ze skórkami od pomarańcz, grzebień z kremem, listy z czekoladą...

ŻONA (przerywając atakiem płaczu).

— Dosyć! już dosyć! Czemuż nie wyjechałam na święta z domu!... Boże! Boże! weź mnie stąd jaknajprędzej. — Śliczna Gwiazdka... (ucieka do swojego pokoju).

RÓZIA (patrząc się z przerażeniem na sufit).

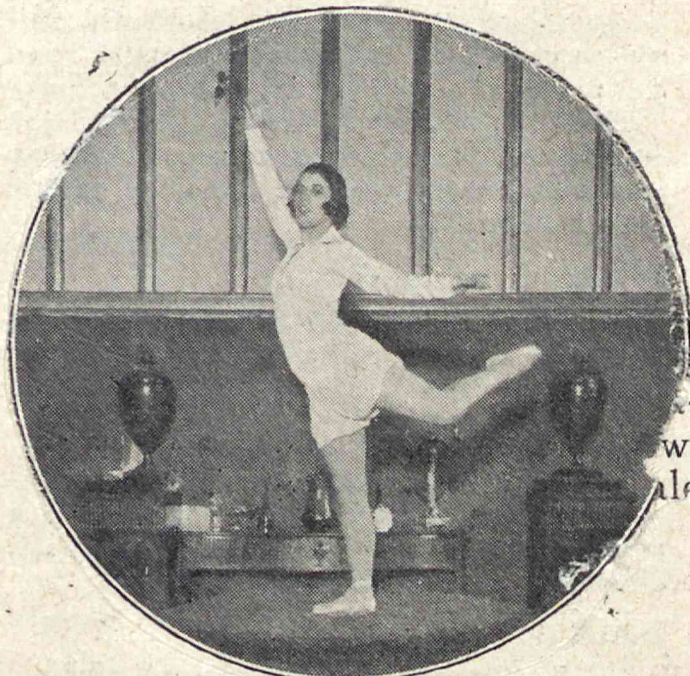
— Proszę pana, sufit zajął się od drzewka. Pójdę do kuchni po strażaka...

Koniec.

„LEILA"

P. NOZIERES W TEATRZE MICHEL

P. Nozières posiada dużą rutynę sceniczną i sporo daru obserwacyjnego. Akcja jego ostatniej komedji obraca się dokoła pięknej egzotycznej Leili. Wychowanka lupanarów syryjskich została żoną bogatego fabrykanta Naumbeja w Egipcie. Miejscowa societa ją bojkotuje. Za radą swego impresarja modny portrecista paryski, bawiący w Kairze, odmówił zrobienia jej portretu. Leila pomści się na swój



M-lle Spinelly

sposób. Zgłasza się jako modelka do jego pracowni w Paryżu. Rozkochawszy w sobie, zniszczy wywołaniem zazdrości przyjaźń jego z dawnym mistrzem i druhem, rozbije wogóle wygodny kwietyzm, w którym się zatracał. Po storturowaniu obu malarzy masą złudnych obietnic, powróci nie bez lekkiej melancholji — do Kairu. Przelot wszakże tego niebezpiecznego meteoru kobiecości pozostawia również ślady dobroczynne. Cierpienia i ogniste uczucia, jakie wzbudziła, odświeżą talent spowszedniały portrecisty, mistrzowi jego przywrócą chęć do pracy i życia.

Zręcznie, zajmująco napisana komedja. P. Nozières poza interesującym typem mściwej energicznej kobiety, który jednak nie wpada w melodramat, poruszył w sposób daleki od banalności moment destrukcyjnego wpływu kobiety na przyjaźń dwóch mężczyzn rywali. Także typ dorobkiewicza nowobogackiego dobrze i z humorem został podchwycony. Kwartet pani Spinelly, p. Signoret'a, p. Debucourt'a i Clerment'a gra pierwszorzędnie. Reszta zespołu jest na wysokości zadania.

E. W.

ŚWIAT SAMOCHODOWY

DOKĄD JEŹDZIĆ SAMOCHODEM

Jedną z największych trosk, jednem z największych zmartwień automobilisty w Polsce, jest znalezienie odpowiedzi na pytanie: dokąd pojedziemy na wycieczkę?

Kiedy umówi się kilka osób na niedzielną, czy świąteczną eskapadę automobilową, wszyscy nasamprzód głowią się, dokąd jechać?

I rzeczywiście na to pytanie trudno znaleźć w Polsce odpowiedź. Nasza stolica jest specjalnie w tym wypadku upośledzona, bo trzeba jechać aż 100 klm. albo i więcej, by dojechać do jakiegoś możliwego miasta, gdzie n. p. można zjeść obiad, kolację lub ewentualnie śniadanie, a wszak trudno wyobrazić sobie spacer samochodowy bez wódeczki czy kurczaka w sezonie.

Dokąd więc jechać z Warszawy? Lublin — to około 150 klm.; Radom — 100 klm.; Płock — 120 klm.; Łomża 140 klm.; a to jeszcze jedyne miasta, w których można zjeść bez obawy o zdrowie i do których prowadzą możliwe szosy. Taki nawet hotel Rzymski w Radomiu albo Warszawski w Płocku mogą zaimponować kuchnią nawet warszawianinowi.

Prawda, mamy też „letni salon warszawski" w Kazimierzu nad Wisłą, ale do tego salonu trzeba jechać dobrą maszyną 3 do 3 i pół godzin — nie każdemu więc chce się tak długo jechać, a potem zaczynają się dopiero kłopoty kulinarne: jeśli jest piękny dzień słoneczny, to ani na osławionej werandzie miejsca niema, ani doprosić się o jedzenie nie można. Braki te sowicie wynagradza przepiękna droga do Kazimierza, zwłaszcza odcinek od skrętu na szosie lubelskiej, prowadzący przez Dęblin i potem nasypem, brzegiem Wisły przez Puławy.

Gdyby nasi restauratorzy w Kongresówce byli bardziej przedsiębiorczy i potrafili utrzymywać swoje lokale w należytej czystości, mieli czyste obrusy i serwety, smaczne jedzenie i jeszcze może pomieszczenie na samochód w podwórzu, napewno dobrzeby na tem wychodzili nietylko w letnim sezonie. Mamy wszak w Polsce przysłowiową piękną jesień, a wiosnę też zaliczyć możemy śmiało do sezonów samochodowych.

Znam pewne miasteczko, położone o 40 kilka kilometrów od stolicy naszej — miasteczko malutkie i ciche. Były tu dwie restauracyjki, w których nikt z automobilistów się nie zatrzymywał — chyba z musu. Jakaś kiszka nadetatowa, defekt w motorze, czy coś podobnego mogło zapędzić sportsmena do tych restauracji. Obie one były ponure, brudne, jedzenie złe i niesmaczne. Nagle zamknięto obie restauracje, a gdy jedną z nich po 2 miesiącach szorowań, odświeżań i napraw otwarto (patrz podróże gen. Składkowskiego) — stał się cud: czysto tam i schludnie; znalazły się czyste obrusy i serwety; jedzenie nagle stało się dobre i trunki są niezłe — nawet jest telefon z Warszawą!

Miotła pana ministra dogodziła automobilistom: często tam zaglądają i pewien jestem, że śniadanka, obiadki i kolacje automobilistów stanowią poważną pozycję w dochodach tej restauracji.

Czy nie dobrze byłoby, aby w innych okolicznych miasteczkach właściciele restauracyj o tem pomyśleli?

Większość automobilistów dzisiaj w Kongresówce zabiera prowianty do koszyczków i jedzie do lasów okolicznych, hołdując dawnym zasadom „majówek", kiedy to brało się kiełbasę i szynkę, bułeczki, wódkę i piwo w koszyki i jechało się końmi w lasy na wielką wycieczkę na Bielany albo pod Wilanów.

W szczęśliwszem położeniu jest Kraków, Lwów i Poznań. Te miasta obfitują w przepiękne bliskie okolice, nadające się na wycieczki automobilowe, a i drogi znacznie są lepsze od naszych w Kongresówce. Naturalnie, że już same okolice górzyste i lesiste tych miast nadają się do wycieczek automobilowych — całe Podkarpacie, dolina Popradu, Dunajca i t. d.— to wymarzone tereny wycieczkowe— biedni są jedynie kongresowicze — ciągle się biedzić muszą, dokąd jechać samochodem.

Naturalnie szczęśliwi są ci, którzy mają krewnych lub przyjaciół na wsi. Wtedy leją benzynę i oliwę i uciekają do dworów znajomych.

Jednak odpowiedź na pytanie, dokąd jeździć samochodem na krótką wycieczkę w Kongresówce, nie prędko się znajdzie.

Bądźmy sprawiedliwi dla kobiet!

CZY KOBIETA MOŻE BYĆ DOBRYM KIEROWCĄ?

Wywiad z p. O. Winding, kierownikiem Działu Sprzedaży General Motors w Polsce.

— „Jako mężczyzna ze wstydem przyznaję, że opinja nasza pod tym względem jest zupełnie niesprawiedliwa". Tak zaczął swą odpowiedź na pytanie: Czy kobieta może być dobrym kierowcą? — nasz interlokutor.

— „Opinja ogółu mężczyzn—ciągnął dalej — nie jest oparta na żadnych realnych faktach, które wskazują na wręcz co innego, a przypisać ją można raczej nietolerancji męskiej w stosunku do kobiet".

— No dobrze, ale przecież jest fakt niezbity, że kobieta jest skłonna do wahania się, że wogóle trudniej u niej o brak decyzji...

Pan Winding uśmiechnął się zlekka.

— „Niech pan zapyta się tego, który siedzi pod pantoflem, czy jego żonie brak decyzji! Małoż jest mężczyzn, którym nie możnaby postawić tego samego zarzutu? Brak decyzji, czy skłonność do wa-



Znana kierowniczka samochodowa, pani Bogusławska, chlubnie nagrodzona kilkakrotnie podczas zawodów samochodowych

NOWE TABLICE DROGOWE DLA AUTOMOBILISTÓW



Uroczystość założenia I znaku (2 grudnia z. r.)

W myśl przepisów Międzynarodowej Konwencji Drogowej, podpisanej w Paryżu w 1926 r., dotychczasowe znaki ostrzegawcze formy owalnej mają być zamienione na tablice trójkątne.

Na pokrycie kosztów, związanych z zamianą znaków i ich konserwacją, Konwencja przewiduje możność umieszczania płatnych reklam na słupach poniżej tarczy ostrzegawczej lub też na jej odwrotnej stronie.

Wykonanie tego przedsięwzięcia powierzone zostało przez Ministerstwo Robót Publicznych Automobilklubowi Polski w Warszawie na zasadzie podpisanej umowy, która obejmuje wszystkie drogi państwowe. Co zaś do dróg samorządowych, Automobilklub Polski jest w trakcie podpisywania umów z poszczególnymi samorządami.

Przybliżona liczba znaków ostrzegawczych na całym terenie Polski wyniesie około 20,000 sztuk.

Zamieszczona fotografja przedstawia zawieszenie pierwszej tarczy ostrzegawczej wraz z reklamą na szosie pod Jabłonną w obecności przedstawicieli władz i członków Automobilklubu Polski.

---

hania się, spotykamy w równej mierze wśród kobiet i mężczyzn".

— A czy kobiecie nie jest trudniej poznać mechanizm samochodu?

— „Tak, ale to nie gra żadnej roli. Skoro tylko zaznajomi się z nim, może dawać sobie równie dobrze radę, jak i mężczyzna. Czas trwania nauki nie wpływa na sposób kierowania. Przeciwnie, robi to nawet kobietę ostrożniejszą, ponieważ w wielu wypadkach nie czuje się zbyt pewną".

— To jest właśnie zarzut, jaki postawilibyśmy kobiecie: jest ona zbyt ostrożną.

— „To nie jest wada, ale zaleta. Na podstawie danych statystycznych można stwierdzić, że tam, gdzie prowadzi kobieta, jest znacznie mniej wypadków. Instynktownie kobiety są bardziej ostrożne, niż mężczyźni. Mężczyzna zwykle jest bardziej pewien siebie i dlatego jedzie mniej oględnie, mało zwraca uwagi na sygnały i przeszkody.

— „Nie — kończy p. Winding — ja uważam, że kobieta nietylko dorównuje mężczyźnie, ale w wielu wypadkach nawet go przewyższa".

DOBRA RADA

Nastał okres śniegów, mrozów i zasp, i już słychać o katastrofach spowodowanych ślizgawicą. Każdy automobilista wie dobrze, że najtrudniejszą rzeczą jest zatrzymać rozpędzony samochód na zmarzniętej szosie albo na śniegu. Taki rozpędzony samochód sunie po śniegu jak na saniach. Łatwo wtedy o zderzenie z wozem albo zesunięcie się do przydrożnego rowu.

Jedynym ratunkiem wtedy są łańcuchy, które niestety u nas są b. mało w użyciu. Rzadko tylko widać samochód na szosie, mający łańcuchy, które wszak w zupełności chronią przed wypadkami, a w miastach szoferzy pędzą po brukach oślizgłych i zamarzniętych, jakgdyby nie wiedzieli o istnieniu łańcuchów.

W miastach na zachodzie i w Stanach Zjednoczonych, kiedy tylko spadnie śnieg, szoferzy natychmiast nakładają łańcuchy. Dobrze byłoby, aby i u nas ten zwyczaj wprowadzono.

Łańcuch — to pierwsza obrona przeciwko wypadkom zimowym.

Proszę pana, pani właśnie uciekła z szoferem...

A to pech, — właśnie chciałem jechać samochodem do miasta.

*

Z WYSTAWY PARYSKIEJ

Według danych departamentu handlowego Stanów Zjednoczonych na Międzynarodowej Wystawie Samochodowej w Paryżu 25 proc. samochodów było amerykańskiego pochodzenia.

Ogólna liczba eksponatów, wliczając w to samochody osobowe, karoserje, poszczególne części wozów, akcesorja, gumy, benzynę i t. p. wynosiła 12.000 sztuk wartości 4 mil. dol.

Na wystawie było reprezentowanych 120 fabryk, z których 71 reprezentowało wytwórczość francuską. Wśród samochodów amerykańskich przeważały wyroby General Motors.

AMERYKA, A MY?

Stany Zjednoczone czynią wszystko, ażeby ułatwić nabycie i posiadanie samochodu każdemu obywatelowi, bez względu na jego stanowisko socjalne, albowiem zdają sobie dokładnie sprawę z tego, że samochód jest niezmiernie ważnym czynnikiem w gospodarczym rozwoju kraju.

Zalecenia Międzynarodowej Izby Handlowej odnośnie dziedziny samochodowej, a szczególnie położenie nacisku na to, by podatki nie stały się zaporą na drodze ekonomicznej użyteczności samochodów, są wyraźnym wskaźnikiem, iż opinja publiczna uważa samochód za ważny czynnik postępu.

NAJWIĘKSZA W ŚWIECIE DYWIDENDA WYPŁACONA PRZEZ GENERAL MOTORS

Największa dywidenda, jaka kiedykolwiek była dana akcjonarjuszom w historji amerykańskiego przemysłu, została uchwalona przez dyrekcję General Motors Corporation. Właściciele akcyj zwyczajnych otrzymają równoznacznik zysku w stosunku 150 procent i dywidendę w gotówce w sumie 43.500.000 dol.

Dotychczas korporacja wypłacała akcjonarjuszom około 60 procent czystego zysku.

NOWINY SAMOCHODOWE

Przeciętna długość życia samochodu została ustalona na 7 lat.

*

Ilość rodzin w Stanach Zjednoczonych, posiadających więcej niż jeden samochód, wynosi przeszło 3 miljony.

*

Od 1 lipca r. b., to jest od chwili uruchomienia fabryki, do dnia 15 listopada włącznie, Montażowa Fabryka General Motors w Polsce wyprodukowała osobowych i ciężarowych samochodów 1.428 sztuk. Największa produkcja była we wrześniu, kiedy wypuszczono na rynek 430 sztuk.

*

W roku 1927 poszło na szmelc 1.825.581 samochodów, co stanowi 12,5% zarejestrowanych wozów.

70 80 60 30

POTĘGA I SPRĘŻYSTOŚĆ...

Silnik samochodu Director fabryki Studebaker'a jest absolutnie bez konkurencji, gdyż w stosunku do swej potęgi wymaga bardzo małych nakładów. Silnik ten, 6-o cylindrowy w jednym bloku, z zaworami po jednej stronie, pracuje cicho i sprawnie, ma dużą skalę szybkości i wielką sprężystość.

Podwozie samochodu Director jest wyjątkowo mocne i trwałe. Elektrycznie spawane stalowe nadwozie daje całkowitą pewność trwałości tego samochodu, którego sprawność została ustalona w biegu 24-o godzinnym pod kontrolą Amerykańskiego Stowarzyszenia Samochodowego (A. A. A.) kiedy seryjny Director wykazał przeciętną szybkość 99,323 klm. na godzinę.

Części zapasowe stale na składzie.

GENERALNE PRZEDSTAWICIELSTWA W POLSCE:

WARSZAWA: „Studers" Sp. z ogr odp., ul. Fredry 4. Tel. 238-00, 242-00.
ŁÓDŹ: Max Fischer & Co, ul. Piotrkowska 177. Tel. 461.
POZNAŃ: Poznański Auto-Skład, ul. 27-go Grudnia 15. Tel. 39-09.
LWÓW: Józef Kozłowski, Biuro Hotel George'a. Tel. 6-10.
KRAKÓW: S. Żychon, Plac Szczepański 8. Tel. 4275.
KATOWICE: Carl Reichmann, ul. Stawowa 5. Tel. 253.
W. M. GDAŃSK: „Dakla" G. m. b. H, Kohlenmarkt 32. Tel. 28384.
TCZEW: „Dakla" Kościuszki 15.
RÓWNE: Michał Kurlandski, ul. 3-go Maja. Tel. 50.

SKŁADNICA DLA PRZEDSTAWICIELI W POLSCE:
AUTOSALE COMPANY G. m. b. H.
Sp. z ogr. odp.
GDAŃSK, HOPFENGASSE 74. Adres Telegr.: AUTOSALE, GDAŃSK.

SAMOCHODY — AUTOBUSY — CIĘŻARÓWKI — CZĘŚCI ZAPASOWE.



STUDEBAKER


NOTATKI LITERACKIE

Igraszki satanistyczne i problem religji

Powieść Jerzego Bernanosa p. t. „Pod słońcem szatana" wśród czytelników francuskich, niemieckich wywołała — dreszcz niezwykłości. Krytyka paryska uznała tę powieść za „najbardziej wstrząsające odkrycie", „gwiazdę pierwszej wielkości". Niemcy nazwali ją „sztraszliwym sądem nad współczesnością i jej rozwodnionem chrześcijaństwem", „zdumiewającem arcydziełem rzadko przeżytej głębi". Po takich dytyrambach zagranicznych, cóż pozostaje do zaopinjowania krytyce polskiej? Wyczerpano przecież arsenał zachwytów. Możeby więc spojrzeć rozważniej w treść tej poczytnej i adorowanej powieści. Igraszki jej satanistyczne przy innych patologjach na tle dewocjonistyki mogą być wcale ostrą przyprawą beletrystyczną dla poszukiwaczy niezwykłych wrażeń literackich snobów, znudzonych erotyką Dekobry pań. Naogół jednak powieść ta, suggestywna w wysłowieniu, jest bardzo uboga w konstrukcji intellektualnej. Niepotrzebnie też paszkwilizuje na pamięci znakomitego sceptyka i artysty Anatola France'a, który „Pod słońcem szatana" został przysłonięty kryptonimem Antoniego Saint Marin'a.

Jerzy Bernanos pragnie nas przekonać, że twórca „Thais" znużył się swojem kuglarstwem intelektualnem i pustką moralną. Prześladuje go lęk przed śmiercią. Igrał z nią przez całe życie. Przyjechał więc do Lumbras do nienormalnego prostaka księdza, ćwiczącego się rzemieniem na wzór średniowiecznych biczowników, by... odnaleźć tu utraconą wiarę. Jest to zbyt prymitywny i bardzo tendencyjny, beletrystyczny koncept, prawie żart. Czyż cud nawrócenia potrzebuje tak jaskrawych akcesorjów?

Ksiądz Donissan może budzić współczucie w każdym rozumnym człowieku. Jego praktyki nadają się raczej do obudzenia litości dla jego duszy pomylonej, szukającej zbawienia na przestarzałych i nawet przez Kościół nieuznawanych drogach.

Satanistyczna przyprawa o motywach zbrodniczych w epizodzie z panną Maloirhy też jest motywem o inwencji literackiej bardzo średniej. Jakże jest łatwo snuć wątek takich wydarzeń?

Pozostaje z tej książki suggestywny tok zdań, niezawsze dobrze przełożonych na język polski. Igraszki satanistyczne nie są ciekawe dla wszystkich umysłów. Wiek XIX zdołał ustalić o nich swój sąd. Pocóż wracać do nich, żeby dowodzić rzeczy, nie potrzebującej tego rodzaju argumentów: religji!

Instynkty Chłopskie

Reymont „Chłopów" swoich nie ustosunkowywał do wielkich właścicieli rolnych. Jego bohaterowie żyją wśród takich samych „Chłopów", jak rodzina Borynów. Na innym motywie oparł swoją powieść H. Balzac pod identycznym tytułem. Chodziło mu o pokazanie złych instynktów chłopstwa, wrogo usposobionego do obszarnika. Instynkty te umieją zużytkować do swoich celów różne dorabiające się filuty. Łupiestwa chłopów używają, jako środka do obrzydzenia gospodarki obszarnikowi. Lepiej to przecież, gdy administracją zajmie się jakiś rządca. Wyciśnie on z majątku co się da i w odpowiedniej chwili zjawi się, jako kontrahent do kupna.

Balzac może zbyt czarno pokazał i jednostronnie oświetlił motywy życia chłopskiego. Powieść jego jest jednak ciekawą i dla rodzajowej galerji figur małomiasteczkowych notablów. Kolekcja ta bawi różnorodnością fizjonomji karykaturalnych postaci. Obżarstwo, lubieżnistwo, obłuda, rozpusta, skąpstwo, pseudo - wiedza, pseudo - elegancja przesuwają się w ponętnych szatach barwnej małomiasteczkowej pantominy. Rezultat walki obszarnika z temi wszystkiemi drobnoustrojami zgóry jest przesądzony. Złe instynkty chłopskie dokonają dzieła zniszczenia nietylko fortuny, ale i ośrodka starej kultury.

U nas po wojnie spotyka się podobne konflikty na tle agrarnem. „Chłopów" H. Balzac'a przyswoił mowie polskiej T. Boy - Żeleński.



DZIAŁ ROZRYWEK UMYSŁOWYCH

Idąc śladem wielu wydawnictw krajowych i zagranicznych wprowadzamy na łamach „Świata" nowy dział, poświęcony rozrywkom umysłowym; pomieszczać w nim będziemy zadania z dziedziny szachów i tak m dnego dziś w całym świecie bridge'a. Pragnąc zaś pobudzić zainteresowanie czytelników dla tego nowego działu, podejmujemy równocześnie inicjatywę peryodycznych konkursów na najlepsze rozwiązania w obu tych działach.

Pierwsze dwa równoległe konkursy obejmować będą po 6 zadań, które kolejno ukazywać się będą na tych łamach. W każdym dziale ustanawiamy po **1 nagrodzie** w postaci cennych książek i wydawnictw, a mianowicie:

W KONKURSIE SZACHOWYM:

Anhelli — Juljusza Słowackiego w nowem wydaniu Jakuba Mortkowicza.

Piękna ta książka, do której okładkę, inicjały, ozdobniki i całostronnicowe rysunki wykonał art. mal. Wacław Borowski, przynosi niewątpliwie zaszczyt naszej sztuce graficznej.

W KONKURSIE BRIDGE'OWYM

Tym. Sawickiego **Warszawa w obrazach Bernarda Belotta Canaletto** piękne wysoce artystyczne wydawnictwo J. Mortkowicza.

Książka ta, ze względu na temat i na niezwykły poziom graficzny, stanowi cenny nabytek dla każdego domu polskiego.

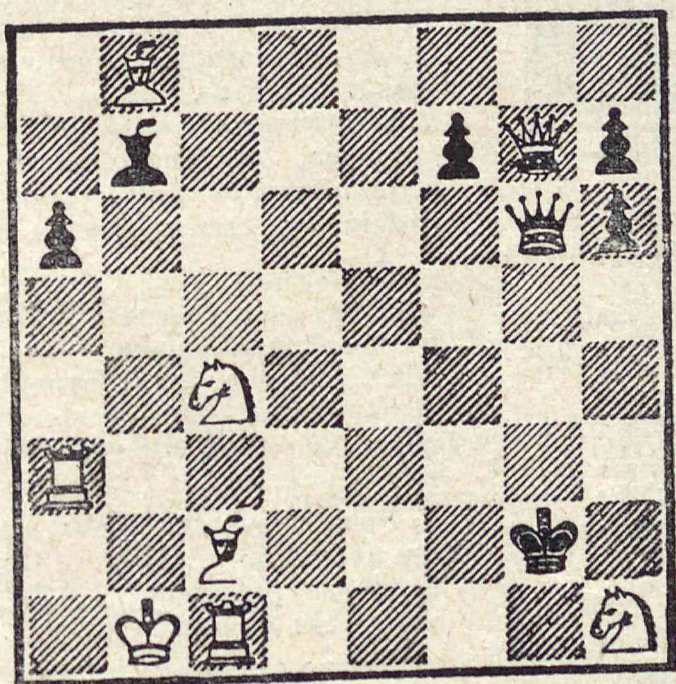
Nagrody te zostaną przyznane za najlepsze wyniki konkursowe, a w razie jednakowych szans kilku uczestników konkursu ulegną rozlosowaniu.

Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem Redakcji „Świata" (Dział rozrywek umysłowych) w Warszawie, ul. Szpitalna № 12. Rozwiązania publikować będziemy w następujących po sobie kolejno №№, stempel pocztowy na rozwiązaniach winien przeto nosić datę, poprzedzającą dzień ukazania się nowego numeru, zawierającego rozwiązanie.

Nazwiska osób, które nadesłały prawidłowe rozwiązania, pomieszczać będziemy po upływie dwuch tygodni od daty ogłoszenia zadania, z jednoczesnem podaniem stanu konkursu.

Zadanie szachowe № 1.

Autor G. I. Nietvelt, Antwerpja I nagroda na II-im Międzynarodowym turnieju dwuchodówek zorganizowanym przez „Neueste Schachnachrichten.



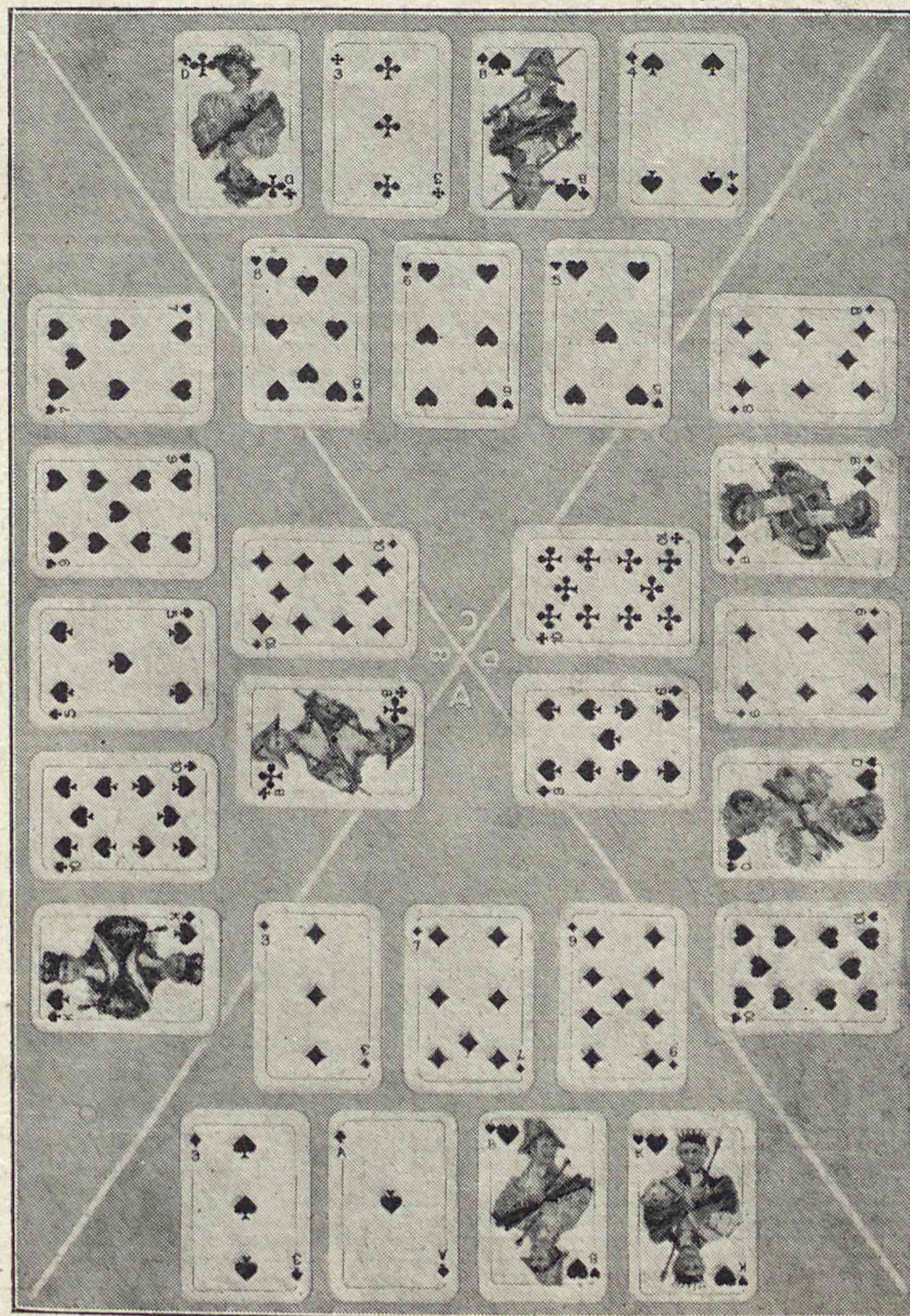
Mat w 2-ch posunięciach

MISTRZ ŚWIATA W WARSZAWIE



Dr. Aljechin, znany szachmistrz, grał w Warszawie na seansach publicznych zdumiewając wielką swoją techniką i pomysłowością gry.

Zadanie bridge'owe № 1.



Atutem są trefle. A zagrywa i oddaje do spółki z C przeciwnikom jedną wziątkę

W BIAŁYCH OBJĘCIACH

Uparte miasta. — Narciarz, to normalny człowiek. — Północ zmusza do czynu. — Radosna wiadomość. — Kraj skoczni narciarskich. — Zbiegowisko narodów w Zakopanem. — Dumni włocho - szwajcarzy.

W chwili, gdy piszemy te słowa, Polska, jak długa i szeroka, została schwytana w białe objęcia zimy, tak rzadkie na dolinach, a zwłaszcza w naszym klimacie. Śnieg działa cuda.

Jeszcze niedawno wisiały nad nami szare płachty jesiennej pogody nizinnej i oto nagle, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, świat promienieje białością. Lśniące odblaski przebiły zapocone szyby, wtargnęły do naszych mieszkań i rozjaśniły światło ponurych dni grudniowych.

Niestety, wielkie miasta w bardzo małym stopniu odczuwają tę radosną zmianę klimatu. W parę godzin po niestrudzonej pracy delikatnych zasłon śnieżnych białe ulice zamieniły się w szare, brudne koryta, wypełnione tym samym, co zawsze, tumultem wielkomiejskim. Miasto — potworny moloch żre i pochłania wszystko z błyskawiczną szybkością.

Białe zostaje to, co nie styka się z miastem i jego zachłannością.

Cieszymy się więc z zimy i żałujemy ludzi zmuszonych żyć w objęciach ulic i murów.

Z wszystkich stron Polski nadchodzą wiadomości o budzącym się do życia sporcie narciarskim. Wspaniały jego rozkwit prześcignął wszystkie nasze rekordy organizacyjne.

Jeszcze przed paru laty narciarstwo ograniczało się tylko do Zakopanego, kwiliło nieśmiało we Lwowie. Dzisiaj cała Polska została pokryta siecią klubów i sekcji narciarskich, propagujących ten najpiękniejszy ze wszystkich sportów.

Na narciarza nie patrzą już jak na „raroga". Sportowcy nasi, odnoszący się do tego sportu z pewną nieufnością, przekonali się, że i tu możliwe są rekordy i wyczyny, bez których niestety pewnych kompleksów ruchu fizycznego, ujętego w celowe ramy, nie chcą uważać za sport.

Narciarstwo ma jedną wielką zaletę, może się doskonale obejść właśnie bez rekordów i całego aparatu zawodniczego, rozwijając się doskonale w kierunku turystycznym, dając szerokim masom możność ruchu, w najzdrowszej porze roku, jaką jest zima. Dotychczas była ona porą wygody i piecuchostwa.

Zima zamykała człowieka w objęciach miasta. Ruchu używał on w tym okresie tylko tyle, ile potrzeba było do spełniania normalnych funkcji życiowych, drepcząc po ulicach pokrytych brudną, oślizgłą mieszaniną rozdeptanego śniegu, zmieszanego z kurzem i brudem. Dzisiaj nauczyliśmy się wykorzystywać piękną porę roku dla jedynego w swoim rodzaju sportu narciarskiego.

Mróz, „rozgrzewacz" organizmu ludzkiego, przestał być tylko dokuczliwym intruzem, wdzierającym się w zakamarki ubrania skulonego i trzęsącego się bezradnie człowieka.

Ruch daje zdrowie, mróz staje się przyjemnem ochłodzeniem rozgrzanego ciała, wyparowującego balast tłuszczu i zasiedziałości.

Wykorzystanie zimy dla ruchu na świeżem mroźnem powietrzu, jest dowodem kultury, co najlepiej widzimy u narodów północnych, jak norwedzy, szwedzi, finnowie.

Zaryzykowałbym jeszcze jedno twierdzenie, że wogóle narody północne, żyjące w ostrym klimacie zimowym, są kulturalniejsze. Mróz pobudza organizm do ruchu. Zachęca człowieka do cywilizacyjnych wysiłków mających na celu udoskonalenie warunków bytu i zabezpieczenie ich w twardych objęciach północnego klimatu.

Północ zmusza do czynu, południe — rozleniwia i rozkleja. Północ daje ruch, południe uniemożliwa go swym upałem, roztapia człowieka w temperaturze senności. Chwalmy więc zimę, wszystkie jej dobrodziejstwa i uroki.

W ostatnich latach klimat nasz uniemożliwiał w złośliwy sposób propagandę uroków zimowych. Na dolinach zapomnieliśmy prawie o „staropolskich" śniegach i mrozach. Zima przypominała deszczowe okresy południowego klimatu; śniegu wystarczało jej zaledwie na przyproszenie bruzd na polach. Przez całe miesiące doliny przedstawiały ponury obraz czarnych, melancholijnych przestrzeni wypełnionych błotnistą mazią. Miejmy nadzieję, że zmieni się na lepsze.

Czekają na śnieg tysiące narciarzy, pielęgnując swe deseczki, które poniosą ich po śnieżnych szlakach w pęd i radość. Dla człowieka „nawróconego" na narciarstwo niema nic przyjemniejszego nad poczucie swobody i lekkości wśród śnieżnych przestrzeni i szczytów.

Zima upiększa. Zakrywa białą zasłoną wszystkie dziury i brudy naszego „obejścia polskiego", dalekiego jeszcze od ideału cywilizacyjnego.

Pisząc te słowa, patrzę przez okno na delikatną pracę wybielania świata przez drobne płatki śnieżne.

Robi się więc nareszcie „ludzka" zima.

Podzielę się z wami, czytelnicy, radosną (jak dla kogo...) wiadomością: wczoraj widziałem w Podkowie Leśnej, na świeżutkim śniegu — narciarza!

Niby to nic takiego nadzwyczajnego, a jednak... wzruszyłem się na jego widok.

Więc już są na dolinach niecierpliwi narciarze. Ledwie śnieg trochę przykurzył, przypinają narty i puszczają się na wędrówki po falistościach podwarszawskich. Więc nie potrzeba aż „samych" Tatr i Zakopanego, żeby jeździć na nartach!

Jeżeli w „płaskiej" Warszawie ludzie zrozumieli to nareszcie, to tembardziej w

innych okolicach, bogatych w pagórkowate tereny powinni się przekonać do narciarstwa.

Wieści nadchodzące z różnych sportowych centrów polskich przekonywują nas, że nareszcie, po wielu latach niedowiarstwa zaczyna smakować.

Skocznie rosną, jak gdyby po deszczu.

Do niedawna całym naszym majątkiem była nienajlepsza skocznia w Jaworzynce.

Dzisiaj mamy już 1 — 7 skoczni w różnych ośrodkach narciarskich, oddalonych od siebie o setki kilometrów, jak Wilno, Lwów, Krynica, Zakopane, Katowice, Nowy Targ i t. d. Sezon tegoroczny będzie, zdaje się, wielkim przełomem w rozwoju naszego narciarstwa.

Wskazuje na to ogólne zainteresowanie międzynarodowemi zawodami o mistrzostwo Europy w Zakopanem.

Niewidziana dotychczas na ziemiach polskich frekwencja startujących państw jest najlepszym dowodem, że w wielkiej rodzinie narciarskich narodów świata odgrywamy poważną rolę.

Nic dziwnego, przecież sami norwedzy przestraszyli się nie na żarty Bronka Czecha w St. Moritz i gdyby nie młody wiek, brak rutyny i otrzaskania nerwowego, zrozumiałego u młodego chłopca, wiele gwiazd i sław norweskich, szwedzkich i fińskich musiałoby skapitulować przed jego wielkim talentem zawodniczym.

Nic też dziwnego, że po efektach olimpijskich Bronka Czecha, zgłosili swój udział w zawodach zakopiańskich, tak ciężcy i „wielcy" panowie, jak anglicy, hiszpanie, francuzi i niemcy.

Dziwi nas tylko opieszałość szwajcarów i włochów.

Do tej pory kraje te nie nadesłały jeszcze swych zgłoszeń. Chyba nie mogą narzekać na brak odpowiedniej dla nich konkurencji.

I jedni i drudzy dostali od nas w skórę na olimpjadzie zarówno w kombinacji (bieg 18 km. i skoki), jak i w 50-ce.

Już sam udział polskich narciarzy w zawodach zakopiańskich powinien im wystarczyć. Jesteśmy od nich lepsi.

Zrozumieli to niemcy i przysyłają silną reprezentację, złożoną z 15 zawodników.

Olbrzymia to cyfra, jak na międzynarodową konkurencję narciarską!

Również czesi, po raz pierwszy dopiero w zeszłym roku pokonani przez nas w mistrzostwach Polski, są z wielkim respektem dla polskiego narciarstwa i zjeżdżają całą gromadą w liczbie 20 reprezentantów.

Zakopane dostąpi wielkiego zaszczytu, goszcząc u siebie prawdopodobnie nawet samych norwegów, którzy przekonali się w St. Moritz, że odseparowanie się od narciarstwa europejskiego może im mocno zaszkodzić w najbliższych latach.

M. Rytard

Anegdoty

— Żeby ci zrobić przyjemność, zaprosiłam pana Stanisława, by przyszedł dziś do nas, nie ubierając się, prosto z pracy.

— Jakto, nie rozumiem! Będzie skandal...

— Czemu?

— On jest nauczycielem pływania.

— Od trzech dni nie mogę spać!

— Cóż panu dolega?

— Żona...

DOKOŁA EKRAN

(Adolf Menjou w Splendid — kinotea w „Sercu na uwięzi". Dwoje naszych daków: Dina Grala i Igo Sym w Pa „Tunel przestępców" w Rococo. „M czyźni wolą blondynki" w kino-Pala „Wołga, Wołga" Turżańskiego w Co sseum").

Wśród powodzi filmów ameryka skich rzadko zdarza się znaleźć tak p kny i tak skończenie artystyczny obr jak „Serce na uwięzi" z Adolfem Men i Cathryn Carver. Jest to komedja na sentymentu i humoru, wykonana mistrzowsku, subtelna, przejrzysta i sna w konstrukcji, wyjątkowo miła i neczna. Komedja ta, przynosząca zaszc realizatorom, a w pierwszym rzędzie żyserowi Abbadie d'Arresti i wykonaw com, posiada tak zajmujący i konsekwen tny scenarjusz, że może on służyć za wzór innym scenarjuszom. Akcja utrzymuje uwagę widza w ciągłem napięciu biegnie ona z należytym rozpędem, roz wijając się prawidłowo, aż do kulmin cyjnego punktu. Film ma rytm i temp ma dowcip napisów i sytuacji, plasty postaci, prześliczne pejzaże górskie zimowem oświetleniu, doskonałe wnęt Ani jeden metr taśmy nie jest tu zu napróżno: praca realizatorów nace wana jest świadomością, poczuciem a zmu: wiedzą oni, czego chcą i do c dążą.

Adolf Menjou jest nieporównany. To niewątpliwie największy dziś aktor *komedjowy* w filmie amerykańskim, a nie ma rywala, oczywiście, w Europie. Jego każdy uśmiech, każdy gest jest wystudjowany, obmyślony i niezawodny. W roli mr. Alberta przeszedł on sam siebie: dzięki niemu film żyje. Ma on idealną partnerkę w ślicznej Cathryn Carver. Ma również wybornych partnerów w odtwórcach ról: cara Borysa, pana Forstera i kucharza.

Żaden inny film z pośród tych, które grane były w ub. tygodniu, nie mógł się równać z „Sercem na uwięzi". Miły i sympatyczny film „Mężczyźni wolą blondynki" w Palace może jeszcze najbardziej się wyróżnia ze wszystkich. „Tunel przestępców" zaś, film o pierwszorzędnym tytule i temacie, należy do gatunku sensacyjnych i mógłby być interesujący, gdyby reżyser Geza Bolwary umiał nadać mu odpowiednie tempo i rozwinąć w mocnych rzutach akcję, nadając jej jakiś ton niesamowity. Tymczasem wszystko, co się w tym obrazie dzieje, jest rozwlekłe i nudnawe, a bohater Karol de

Vogt nie ma żadnego zgoła pola do popisu. Tak samo bez akcji i bez tempa jest film niemiecki z parą naszych rodaków: Diną Gralla i Igo Symem. Oboje mają role nikłe. Film posiada akcję wątłą. Żadnego większego zainteresowania wzbudzić nie może, aczkolwiek wplątana w intrygę miłosną opowieść o skradzionych w poselstwie dokumentach politycznych — ma posmak sensacji. Ale reżyser nie umiał wyzyskać tych sensacyjnych motywów ani opracować tematu w sposób, któryby go uczynił interesującym — to też zawodzi ta „sensacja" na całej linji.

Na zakończenie muszę wspomnieć o wysoce interesującym filmie reżysera Turżańskiego „Wołga, Wołga", osnutym na tle dziejów Stieńki Razina. Jest to nowa wersja filmowa, poprzednia bowiem nie udała się. Film stworzyli niemcy i rosjanie. Budzi on różne zastrzeżenia, ale uderza rozmachem i siłą wyrazu. Napiszemy o nim obszerniej — za tydzień.

Tad. Kończyc



Redaktor odpowiedzialny ST. KRZYWOSZEWSKI
DRUK GALEWSKI I DAU Warszawa

WYDAWNICTWA NAKŁADEM MR. FARM. REDAKTORA „WIADOMOŚCI FARMACEUTYCZNYCH"
Warszawa—Długa 16, tel. 416-50.—Skrzynka poczt. № 19.

FR. HERODA

„WYKŁAD CHEMJI ORGANICZNEJ"

ZESZYT I-y

LUDWIK SZPERL

W tych dniach opuścił prasę I-szy zeszyt (1928, 292 str.) Wykładu Chemji Organicznej Ludwika Szperla, Profesora Politechniki Warszawskiej, zawierający Chemję związków tłuszczowych.

Część druga, zawierająca związki aromatyczne, z przedmową, spisem treści i indeksem całości, ukaże się w połowie 1929 r. Po wyjściu drugiej części podręcznik ten będzie oprawiony w całości.

Nabywający część I-szą będą mieli możność nabycia drugiej części oraz osobno płóciennej okładki po cenie zniżonej.

Cena zł. 19.

Nauka o przyrządzaniu leków i ich postaciach Prof. Dr. Br. Koskowski, 1927, str. 635, rys. 111. (w opr. płóc. z wyc.) . . zł. 24.—	**Podręcznik do mikroskopowego rozpoznawania surowców lekarskich** Prof. J. Muszyński, 1926, str. 300+VII, rys. 95, (w opr. płóc. z wyc.) zł. 15.—	**Zarys bakterjologji praktycznej** Dr. F. Przesmycki, 1927, str. XII+192 (w opr. płóc. z wyc. sk.) zł. 12.—	**Słownictwo anatomiczno-botaniczne** Prof. Dr. Wł. Mazurkiewicz, 1927, str. 42 zł. 1.50
Olejki eteryczne Dr. H. Ruebenbauer, str. VIII + 232, z licznemi ilustracjami, (w opr.) zł. 5.—	**Herbata** Dr. H. Ruebenbauer, str. 31 zł. 1.50	**O metodach oznaczania stężenia jonów wodorowych** Inż. chem. F. Grossman, 1927, str. 119 zł. 5.—	**Roślinne leki sercowe** Prof. S. Biernacki, str. 82 zł. 3.—
Homeopatja J. Bajsarowicz, 1927, str. 51 zł. 2.—	**Ustrój aptekarstwa w Polsce** Fr. Herod, str. 76 zł. 1.50	**Hodowla ziół aptekarskich** S. Biegański, str. 84 zł. 2.50	**Chleb powszedni** Dr. W. Gądzikiewicz, str. 40 zł. 2.—



HUMOR ZAGRANICZNY



— Moja córka jest muzykalna, maluje, uprawia sporty, prowadzi samochód... nawet napisała dwie nowele!
Kandydat do stanu małżeńskiego:
— A umie cerować skarpetki?

(Tribuna)

DRUK GALEWSKI I DAU, WARSZAWA